

Rok XXV

Nr e-12 (258)

Grudzień 2011

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



Wesołych Świąt

SPIS TREŚCI

| | |
|--|---------------------------------------|
| Wszystkiego najlepszego! | 3 |
| Z NASZEGO REGIONU | |
| Lodowce Karkonoszy | <i>Krzysztof Pik</i> 4 |
| W cieniu piramid | <i>Waldemar Jankowski</i> 5 |
| Muzeum Regionalne w Jaworze zaprasza | <i>Katarzyna Wojnarowicz</i> 7 |
| Kamieniecki zespół parkowy | <i>Izabela Cichoń</i> 8 |
| Głazy Krasnoludków | <i>Wojciech Radliński</i> 10 |
| Kościoty obronne okolic Wrocławia (6) | <i>Jerzy Maciejewski</i> 11 |
| OJCZYSTE SZLAKI | |
| Wielkopolska drewniana | <i>Marcin Husak</i> 12 |
| Wycieczka na Białoruś | <i>Leszek Kieniewicz</i> 13 |
| Jesienne ostatki w Tatrach | <i>Roman W.</i> 16 |
| Szalom aleichem – krakowski Kazimierz | <i>Izabela Kopeć</i> 18 |
| TRASA MIESIĄCA | |
| Zimna Dziura | <i>Juliusz Wystouch</i> 20 |
| GLOBTROTER | |
| Ural Subpolarny (3) | <i>Maciej Besta</i> 22 |
| Wybrzeże Kości Słoniowej – Pięć stopni od równika | <i>Krzysztof Zadros</i> 24 |
| Ojwin i jego atrakcje | <i>Krzysztof Tęcza</i> 25 |
| Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW | |
| 47. Dolnośląski Zlot Przodowników Turystyki Pieszej | <i>Henryk Sławiński</i> 28 |
| 50. Ogólnopolski Zlot PTG PTTK | <i>Krzysztof Tecza</i> 29 |
| Odwiedziny w bazie | <i>Juliusz Wystouch</i> 31 |
| XII Spotkanie Śladowe „Na Szlaku” | <i>Juliusz Wystouch</i> 32 |
| Urodziny pod Śnieżnikiem | <i>Krzysztof R. Mazurski</i> 33 |
| Nowa praca o naszym magazynie | <i>Redakcja</i> 34 |
| PORADNIK TURYSTY | |
| Zima przed nami | <i>Juliusz Wystouch</i> 36 |
| Imprezy na terenie „Księstwa Świdnicko-Jaworskiego” i w okolicy | 37 |
| NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU | |
| Biuletyn Nr 1 Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego .. | <i>Henryk Paciej</i> 38 |
| SYLWETKI „NA SZLAKU” | |
| Polacy nad Bajkałem | <i>Janusz Fuksa</i> 40 |
| Kończy się rok 2011 – Rok Marii Skłodowskiej-Curie | <i>Andrzej Rumiński</i> 41 |
| RECENZJE, NOWOŚCI | |
| Rzecz o obiektach turystycznych rejonu Wałbrzycha | <i>Krzysztof R. Mazurski</i> 43 |
| Z Trzech Koron widać więcej | <i>Tomasz Kowalik</i> 43 |
| LISTY, OPINIE, DYSKUSJE | |
| Nieprzemijające wartości szkolnego ruchu krajoznawczo-turystycznego | <i>Krzysztof R. Mazurski</i> 45 |

Na okładce: Śnieżka. Fot.: Piotr Dacko

Wszystkiego najlepszego!

znów rok za nami – w świecie wydarzyło się wiele rzeczy, wiele tragedii – żeby tylko wspomnieć przeogromne tsunami w Japonii, lecz szczęśliwie nasz kraj został zaoszczędzony. Każdemu z nas wiodło się różnie – jak to bywa w życiu i tak wielkiej gromadzie. Wielu jednak ma za sobą wspaniałe przeżycia na szlakach górskich, nizinnych czy wodnych, pieszo, na nartach, rowerze czy kajaku, a także samolotem przemierzając przestrzeń naszego globu. Wspominajmy więc Rok 2011 dobrze, zachowajmy w pamięci to, co najlepsze. Widać to po tekstach, jakie otrzymujemy od naszych wspaniałych Czytelników z całej niemal Europy, a będąc czytani niemal na wszystkich kontynentach. To siła Internetu, dzięki któremu możemy dotrzeć niemal do każdego zakątka Ziemi. Pamiętajmy też o tych, którzy nam dotąd towarzyszyli – staramy się pamięć o nich utrwaląć i na naszych kartach. Staramy się usprawniać nie tylko nasz magazyn pod względem

edytorskim, ale i naszą stronę. Mamy nadzieję, że w dobrym kierunku, liczymy wszakże i na sugestie i propozycje Czytelników. Stale bowiem chlubimy się, iż jesteśmy w odróżnieniu od innych magazynów, naprawdę czasopismem Czytelników – to ich teksty stanowią rdzeń zawartości, autentyczne doświadczenia i obserwacje. Nie będzie w 2012 r., niestety, letniego Spotkania Czytelników i Sympatyków – ostatnie miało miejsce w czerwcu ub. r. w Istebnej. Stawiło się na nie tak mało osób spoza Redakcji, że trzeba to uznać za brak zainteresowania podobną imprezą. Jest tyle możliwości wojażowania. Nikt też nie podjął się organizacji następnego. Rozumiemy to.



Rzeź Niewiniątek w Betlejem – Peter Bruegel

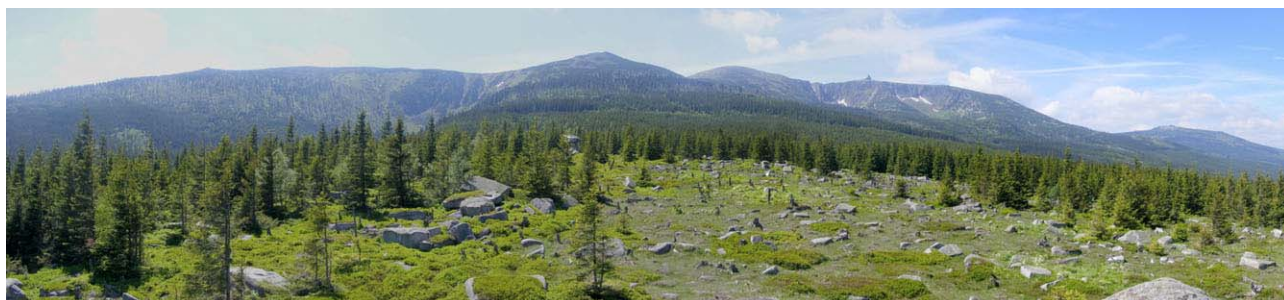
Święta i Nowy 2012 Rok tuż, tuż, więc w imieniu Redakcji – poszerzonej, jak zapewne zauważyliście, życzę wszystkim stałym Czytelnikom i tym, którzy okazyjnie zaglądają na naszą stronę, wszystkiego najlepszego, zdrowia i pomyslności! A że jesteśmy w kręgu turystów i podróżników, życzę udanych wypraw tak krajowych, jak i zagranicznych – świat jest tak wielki i tak ciekawy. Oby z tych wyjazdów Czytelnicy wynieśli same dobre wspomnienia i przeżyli je jak najlepiej!

Redaktor Naczelny

Krzysztof Pik

Lodowce Karkonoszy

Atrakcją turystyczną Karkonoszy Zachodnich są trzy kotły polodowcowe. Należą do nich Śnieżne Kotły oraz wciśnięty głęboko w dół rzeki Wrzosówki – Czarny Kocioł Jagniątkowski. W epoce plejstocenu wytworzyły się w Karkonoszach górskie lodowce o charakterze lokalnym. Po polskiej stronie mamy sześć kotłów polodowcowych, do których należą Śnieżne Kotły, Czarny Kocioł Jagniątkowski, Kocioł Małego i Wielkiego Stawu oraz Kocioł Łomniczki. W epoce lodowcowej, która zaczęła się 2,588 mln lat temu, olbrzymie lodowce kontynentalne (lądolody) pokryły dużą część Europy, łącznie z Polską. Panował wtedy bardzo zimny klimat, a w Karkonoszach padał obficie śnieg. Gromadził się głównie w niszach źródliskowych i zagłębieniach podobnych do Białego Jaru. Ponieważ linia wiecznego śniegu była znacznie niższa niż obecnie (2300 m), mógł się on tam gromadzić przeobrażając się pod wpływem ciśnienia nadkładu śniegu w lód lodowcowy, który potrafi płynąć. Lodowiec działał podobnie jak taśmociąg, transportując w dół odłamki kamienne, które na skutek wietrzenia mrozowego naporu mas lodu odpadały od ścian skalnych kotła. Po plejstocenie pozostały kotły polodowcowe i moreny, których długość w Śnieżnych Kotłach wynosi do 2 km. Dużą zasługą w rozpoznaniu moren karkonoskich było naniesienie ich na mapy geologiczne przez wrocławskiego geomorfologa Janusza Czerwińskiego.



Panorama Sudetów Zachodnich

Inaczej było z Czarnym Kociołem Jagniątkowskim, gdzie lodowiec był wciśnięty głęboko w dół doliny Wrzosówki. Miał on tam charakter linijny, ponieważ cała dolina leży na uskoku tektonicznym i moreny polodowcowe sięgają aż do Drugiej Drogi. Robi to niesamowite wrażenie, gdy nagle w dolinie wyrasta przed nami kupa kamieni i wygląda to tak, jakby ktoś je specjalnie usypał, a są one natomiast efektem działalności lodowca. W literaturze



Śnieżne Kotły z moreną i stawkami polodowcowymi



Morena poniżej Czarnego Kotła i powyżej II Drogi

istnieje teoria, że Karkonosze były zlodowacone dwukrotnie. Czescy geomorfolodzy mają inną teorię, a mianowicie, że zlodowacenie było jedno, zaś lodowce na skutek zmian klimatycznych raz się cofały, raz wydłużały. Lodowce górskie nie mają nic wspólnego z lądolodem skandynawskim. Wtargnął on najdalej w Kotlinę Jeleniogórską nie łącząc się z lodowcem górskim, ponieważ na przedpolu tego pierwszego panował suchy klimat i nie było możliwości do wytworzenia jakiegokolwiek lodu. Karkonosze miały lokalne zlodowacenia górskie. Informacje na temat lodowców w Karko-

noszach uzyskałem od Roksany Knapik, geologa Karkonoskiego Parku Narodowego, w trakcie prowadzonej przez nią wycieczki.

Waldemar Jankowski

W cieniu piramid

Kóż nie zna położonego w sercu Beskidu Śląskiego Ustronia? To niewielkie śląskie letnisko przyciąga uwagę swoim ciekawym położeniem, długimi tradycjami przemysłowymi i niewątpliwymi walorami przyrodniczymi. O mieście słyszał chyba każdy, kto choć trochę wędruje po górach lub zamierzał skorzystać z lecznictwa uzdrowskiego.

Ustroń może pochwalić się kilkoma wiekami tradycji w obsłudze kuracjuszy, jednak naprawdę imponująca baza sanatoryjna powstała tutaj dopiero w okresie powojennym. Gdy w pobliskim Jastrzębiu-Zdroju postawiono na rozwój przemysłu wydobywczego, jego dotychczasowe funkcje uzdrowskie przejął właśnie Ustroń. Rozmach zrealizowanych wówczas inwestycji budzi podziw do dzisiaj. W wytyczonej na nowo dzielnicy Zawodzie wybudowano gigantyczny, nowoczesny Dom Zdrojowy oraz budynek sanatorium uzdrowskiego „Równica” dla 800 osób. Ponadto wśród wijących się po zalesionym zboczach Równicy uliczek sukcesywnie dobudowywano na óczesne warunki nowoczesne i oryginalne pod względem architektonicznym budynki sanatoriów w kształcie piramid. Pod koniec lat osiemdziesiątych uzdrowsko posiadało około 1500 miejsc noclegowych i obsługiwało rocznie blisko 11000 kuracjuszy. Przybywali tu pacjenci z pobliskiego Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego i całej Polski. Całość stanowiła ciekawą, spójny zamysł urbanistyczny,





dość wyraźnie wyróżniający Ustronń spośród innych miejscowości letniskowych w kraju.

Dziś można oczywiście długo dyskutować nad walorami estetycznymi, rentownością oraz funkcjonalnością ustronńskiej dzielnicy uzdrowskiej. Dwadzieścia lat przemian gospodarczych odcisnęło swoje piętno również na Zawodziu. Potężny gmach Domu Zdrojowego oddano w dużej części pod działalność komercyjną.

Powstały tu prywatne kliniki, gabinety lekarskie, zabiegowe, salony masażu oraz siłownie. Wiele obiektów sprzedano prywatnym właścicielom, z których każdy realizował swój własny pomysł na jego zagospodarowanie. Jedni wykonali solidny remont i urządzili w nim hotel *spa*, inni z trudem podtrzymując przy życiu resztki dawnej świetności starają się funkcjonować jako centra szkoleniowe, konferencyjne itp., jeszcze inni, nawet nie ukrywając popadania w coraz większą mizериę, sprzedają po niskich cenach miejsca noclegowe dla niewymagających turystów. Kilka obiektów pozostało w rękach uzdrowiska, reszta popadła w ruinę. Niezależnie od architektonicznych i urbanistycznych uwarunkowań Zawozdia, jako symbol nowych czasów wybudowano ponad całym osiedlem, tuż pod szczytem Równicy ogromny, luksusowy, widoczny z każdego miejsca w Ustroniu hotel *Belweder*.

Wrażliwy krajoznawca zastanowi się nad sensownością i istotą przemian, jakie tutaj zaszły. Odpływ kuracjuszy, spowodowany drastycznym ograniczeniem finansowania przez państwo lecznictwa uzdrowskiego, musiał pociągnąć za sobą zmiany gospodarcze i funkcjonalne w osiedlach takich, jak Zawozdzie. Wydaje się jednak, że przy zastosowaniu ściślejszego nadzoru administracyjnego na początku przemian było jeszcze możliwe zachowanie walorów estetycznych krajobrazu, sprawy niebanalnej dla miejscowości letniskowej. Dzisiaj nie widać perspektyw na poprawę wizerunku dzielnicy uzdrowskiej Ustronia. Raczej wątpliwe jest, by kilku, a może kilkunastu właścicieli obiektów, mających rozbieżne cele gospodarcze, inne grupy docelowe klientów i koncepcje rozwoju stworzyło razem wspólną, spójną strategię zagospodarowania osiedla, tym bardziej pod presją wciąż rosnącej konkurencji ze strony pobliskiego Jaszowca lub Wisły. Ratunkiem mógłby być długofalowy program rewitalizacji. Trudno jednak wskazać organ odpowiedzialny za jego opracowanie, a przede wszystkim za sfinansowanie i wprowadzenie w życie. Byłoby to zadanie zdecydowanie ponad możliwości pow. cieszyńskiego, natomiast władze woj. śląskiego mają do rozwiązania niewątpliwie bardziej palące problemy upadających kopalń. Ponadto raczej nie widać, by problem generalnie spędzał komukolwiek sen z powiek. Zawozdzie skupia w sobie kilka problemów powstałych w ostatnich dwóch dziesięcioleciach. Ogromne obiekty dzieli się na mniejsze, łatwiejsze do sprzedania, ale za to z niewielkim potencjałem rynkowym i finansowym, przez co dawną ruinę maskuje się co najwyżej warstwą tynku poświęcając przy tym dobrą naturę ogólną, którym w przypadku Ustronia jest estetyka otoczenia, na dzisiaj w zasadzie jedyny naturalny zasób miejscowości. Nawet trudno mieć do kogokolwiek pretensje o ten stan rzeczy. Taki jest po prostu duch czasów. Tak jak zaraz po wojnie, zgodnie z potrzebą chwili przekształcano szlacheckie dwory i pałace w szkoły i biurowce PGR-ów, tak obecnie zamienia się niezłe, ambitne projekty PRL-u w kolorowe jarmarki, schlebające gustom masowego klienta.

Fot. Wojciech Czopowski



Muzeum Regionalne w Jaworze zaprasza

Wśród licznych atrakcyjnych zabytków tej dawnej stolicy piastowskiego księstwa godnym uwagi jest Muzeum Regionalne, które rozpoczęło swoją działalność w 1929 r. z chwilą przekazania na ten cel budynku przy obecnej ul. Piłsudskiego przez rodzinę miejscowych patrycjuszy i kolekcjonerów sztuki Koischwitzów. W obiekcie, będącym bezstylową willą, znalazły swoje miejsce bogate zbiory, w większości dary jaworskich mieszczan, organizacji cechowych, Bractwa Strzeleckiego, a także instytucji kościelnych. Było to typowe muzeum regionalne stworzone na wzór szeroko rozpowszechnionej w XIX w. w Niemczech formy gabinetów przyrodniczych i osobliwości. Po II Wojnie Światowej muzeum – już jako polska placówka, wznowiło swą działalność w 1949 r. W 1964 r. przeniesiono je do gotyckiego zespołu poklasztornego ojców bernardynów z XV w., składającego się z kościoła NMP i klasztoru.

Klasztor, po poświęceniu w 1489 r., użytkowany był przez wspomniany zakon, w okresie Reformacji, w latach 1565-1654, należał do ewangelików prowadzących tu szkołę. Potem do 1810 r. ponownie zajmowali go zakonnicy. Po kasacie zgromadzenia, aż do 1945 r. służył m.in. za warsztaty, magazyny, zbrojownię i wozownię, urząd policyjny. Podczas remontu prowadzonego w latach 1976-1986 został zaadaptowany na cele muzealne. W gotyckim wnętrzu kościoła klasztornego znajduje się od 1994 r. Galeria Śląskiej Sztuki Sakralnej.

Prawdopodobnie w I ćw. XVI w. przyozdobiono wnętrze kościoła malowidłami, które odkryto podczas remontu. Przez wiele lat, począwszy od 1976 r., w kościele prowadzone były prace konserwatorskie przez Wydział Konserwacji Dzieł Sztuki ASP w Krakowie. Obecnie można obejrzeć malowidła: na ścianie tęczowej – św. Bernardyn głoszący kazanie, cykl ośmiu scen Męki Pańskiej w południowej nawie, malowidła sklepienne w prezbiterium i dwóch przęsłach nawy głównej, a także późniejsze, XVII-wieczne malowidła iluzjonistyczne. Sceny Męki Pańskiej, wykonane w technice fresku suchego i tworzące kompozycję kwaterową, rozgrywają się w autentycznym pejzażu Jawora. Stały się one dosłowną ilustracją bernardyńskich kazań, gdzie głównym tematem rozważań był Chrystus – człowiek cierpiący. Malowidła sklepienne są mocno stylizowanym, symetrycznym ornamentem roślinnym, podporządkowanym architekturze sklepienia. Na czołowych ścianach naw bocznych zachowały się iluzjonistycznie - architektoniczne ołtarze, które powstały po 1683 r. Stanowiły one tło dla istniejących wówczas drewnianych ołtarzy. Barokową polichromię odsłonięto we fragmentach także na ścianie północnej oraz na filarach w nawie głównej. Zachowane polichromie uzupełnia zespół transferów XV-wiecznych malowideł ściennych pochodzących z innych kościołów. Osobny zespół tworzą zabytki rzeźby drewnianej, malarstwa tablicowego i sztalugowego: manierystyczny tryptyk z I ćw. XVII w., śląskie epitafia obrazowe z drugiej połowy XVI w. i początku XVII w., obrazy ze scenami z życia Chrystusa i świętych, rzeźby od późnogotyckich Madonn po przykłady rzeźby barokowej i krucyfiksy.

W części klasztornej zachowały się również nieliczne malowidła: Ukrzyżowanie ze stygmatyzacją św. Franciszka, Upadek pod krzyżem oraz fragmenty Ostatniej Wieczerzy. Od 1986 r. eksponowane są tu wystawy pokazujące główne kolekcje tutejszej placówki, a także zbiory innych muzeów, kolekcjonerów prywatnych oraz dzieła współczesnych artystów. Muzeum jest od 1997 r. organizatorem Międzynarodowych Warsztatów Artystycznych i Wystawy Plastyki Artystów Euroregionu Nysa. Funkcjonuje tu Pracownia Konserwacji Dzieł Sztuki. Muzeum liczy obecnie 4,5 tys. muzealitów. Zakres zbiorów obejmuje zabytki artystyczno-historyczne, m.in. malarstwo, grafikę, rzeźbę, bogaty zestaw obiektów dokumentujących dzieje i kulturę Jawora i okolic, militaria, zabytki cechowe i wyroby konwiskarskie, zabytki archeologiczne od neolitu po okres wpływów rzymskich, etnograficzne z kolekcjami mebli, obrazków na szkle i czepców śląskich, zbiory minerałów, paleontologiczne i przyrodnicze. Wśród tak niezwykle różnorodnych eksponatów muzeum posiada przedmioty wyjątkowo wartościowe. Należą do nich dokumenty z XIV-XVIII w., a wśród nich księgi sądowe Jawora z lat 1381-1427, spisane rylcem na tabliczkach woskowych. Niewątpliwie ważną pozycję w zbiorach pełni tryptyk z Rudnej z I ćw. XVII w., malowany temperą na podobrazii drewnianym, ze sceną Ukrzyżowania pośrodku,

scenami Zmartwychwstania, Zesłania Ducha Św., Zwiastowania i Adoracji Dzieciątka na skrzydłach bocznych oraz sceną Wniebowstąpienia w zwieńczeniu, ujęty w ozdobne obramowanie z dekoracją płaskorzeźbioną.

Cenny i bogaty zbiór tworzą militaria, m.in. średniowieczne miecze półtora ręczne z XIV i XV w., XVI-wieczny miecz dwuręczny używany przez piechotę szwajcarską i niemiecką, pałasz dragonów pruskich z XVIII w., tasak artylerii rosyjskiej z 1832 r., kolekcja szabli. Ponad połowę eksponatów stanowią zbiory rzemiosła artystycznego. Wśród nich cenny zespół tworzą śląskie wyroby z cyny, ozdobione delikatną dekoracją rytowaną. W kolekcji szkła artystycznego do najstarszych zaliczają się szkła cechowe i okazy szkieł masońskich związane z historią loży. Wśród szkieł kolorowych, barwionych tlenkami metali, powłokowo, laserunkami i malowaniem, zdobionych rzeźbieniem, rytowaniem i złoceńiami charakterystycznym jest puchar rubinowy z 1840 r.

Wyroby ludowego snycerstwa artystycznego reprezentuje unikatowa kolekcja XVIII i XIX-wiecznych form piernikarskich wchodząca w skład tzw. plastyki obrzędowej o wieloznacznej symbolice i różnorodnej tematyce. Zbiór sztuki ludowej eksponowany na wystawie „Izba Ludowa” prezentuje najbardziej charakterystyczne formy ludowej sztuki dolnośląskiej XVIII i XIX w. Są to meble, przykłady garncarstwa ludowego, obrazki na szkle i wiele innych ciekawych przedmiotów.

Dzięki tym zbiorom można zapoznać się nie tylko z pracą artystów i uzdolnionych rzemieślników, ale i historią regionu. Warto więc poświęcić im nawet kilka godzin.

Izabela Cichoń

KAMIENIECKI ZESPÓŁ PARKOWY

Z założenia ogrodowe wielkiego pałacu w Kamieńcu Ząbkowickim zostały zaprojektowane przez Petera Lenne, który był dyrektorem pruskich ogrodów królewskich. Od 15. do 17.07.1858 r. przebywał on tu i wtedy to powstały projekty założenia. Ogrody w rezydencji królowej Marianny Orańskiej i jej męża Albrechta von Hohenzollerna uznano za jedno z największych osiągnięć sztuki ogrodowej Lennego. Na początek wydzielono część naturalnego lasu, który porastał Wzgórze Grodowe. Część ta należała do wioski Byczeń. Urządzono tam zwierzyniec o powierzchni 25 ha i ogrodzono go drewnianym płotem ze sztachet. Żyły w nim sarny oraz daniele. Wokół jednego ze zbiorników z wodą do picia posadzono dęby, buki i sosny, drugi obsadzono natomiast tylko bukiem i dębem. Zrobiono też aleje dębowo-bukowo-grabowo-brzozowe oraz aleje kasztanowców.

Tarasy zaczęto budować w 1859 r., kiedy Marianna przekazała na ich budowę około 160.000 talarów. Przystąpiono wtedy do prowadzenia robót budowlanych w parku. Na północowschodzie i południowzachodzie usytuowano owe ogrody. Zbudowano liczne fontanny i tarasy w stylu włoskiego renesansu. Przed główną fasadą pałacu utworzono ogród, który też posiadał tarasy, kamienne. Na pierwszym z nich usytuowano sadzawkę z fontanną w kształcie koła. Z tyłu pałacu ważnym elementem był basen, który otaczało pięć fontann. Zrobiono zatem dwa zbiorniki retencyjne, które zasilają fontanny w wodę. Woda do tych zbiorników tłoczona była ze stawu niedaleko Byczenia. Ustawiono ławki i porobiono marmurowe balustrady, utworzono także oczka wodne. Niedaleko basenu zbudowano





Pałac w Kamięńcu na przedwojennej widokówce

ustawionych w ogrodzie, widniały figury chłopców wśród zwierząt, rzeźba Perseusza, posąg Bogini Zwycięstwa. Oryginał tego posągu znajduje się w parku cesarskiej rezydencji w Babelsbergu, mający upamiętniać wojnę francusko-pruską 1870-71.

Wszystkie tarasy urządzono w kształcie prostokątnym, tylko jeden z nich położony najniżej miał kształt kolisty. Największy pełnił funkcję dziedzińca. Naokoło parku posadzono liczne drzewa. Wszystkie ławki, balustrady oraz schody pomalowano na srebrny kolor. W parku utworzono także mauzoleum kamienieckich Hohenzollernów, otoczone ciemnymi świerkami, które jednak zostało poważnie uszkodzone. Prace nad założeniem ogrodowym ukończono w 1865 r., jednak w kolejnych latach zmieniano niektóre elementy będące częścią parku. W 1867 r., niedaleko stajni, wykonano studnię w stylu gotyckim. W latach późniejszych ustawiono dalsze rzeźby, m.in. wspomniany już pomnik Nike, wykonany przez Raucha. Przed 1885 r. przekształcono dawny zwierzyniec w park leśny, zaprojektowany przez ogrodnika Bernkopfa. Zmiany polegały na skorygowaniu starego układu dróg lub stworzeniu nowego oraz na urządzeniu punktów widokowych.

W ciągu całej budowy parku powstało około 26 fontann. Woda z fontanny, znajdującej się w stawie, wytryskiwała nawet na wysokość 33 m. Całe założenie ogrodowe liczyło około 200 ha. Liczne krzewy egzotyczne, posadzone w parku, oraz latorośle tworzyły znakomitą kompozycję. Z tarasu można było podziwiać widok na dolinę Nysy oraz na góry Złote i Bardzkie. Wśród roślinności, poza rododendronami, można było spotkać różne gatunki azalii. Dzięki alejkom można było dojść do wszystkich sadzawek, fontann i ławek znajdujących się na terenie parku. Niektóre z elementów znajdujących się w ogrodzie odziedziczyły nazwę po właścicielach pałacu, jak np. Wzgórze Albrechta, Dąb Agaty, Kamięń Szarloty, a także Sadzawka Złotych Rybek, Morze Czarne itp. Warto też dodać, że park przechodził w tzw. Dziki Ogród, gdzie żyły liczne zwierzęta łowne na wolności. Szatę roślinną parku tworzyło około 58 gatunków drzew i krzewów iglastych i liściastych. Drzewa rosnące w parku mają już od 90 do 170 lat. Największy z nich to dąb szypułkowy, mający średnicę pnia 1,4 m.

Do dzisiaj zachowały się liczne tarasy. Niektóre z nich są jednak w tragicznym stanie. Utworzone miejsca widokowe w parku pozwalały na podziwianie widoków gór Bardzkich i Złotych, liczne wsie i pola. Rzeźby wywieziono z Kamięńca, a inne zostały rozbite, jak np. rzeźba Perseusza, której resztki znaleziono w 1974 r. w basenie pałacowym. Jednak większość z elementów, będących w parku, można zrekonstruować. Potrzebne są tylko chęci i fundusze, bez których dalszy rozwój pałacu jest niemożliwy. Turyści zwiedzający pałac mogą obejrzeć pozostałości w parku, ruiny mauzoleum, znaczną część starodrzewia, niektóre z alejek, zbiorniki na wodę pitną, pozostały też budynki pompowni i gazowni, gdzie obecnie znajdują się mieszkania prywatne. Z fontann prawie już nic nie pozostało. Ze względu na dużą ilość samosiewów nie wiadomo teraz, gdzie jest właściwy park pałacowy, a gdzie park naturalny. Znikły też granice dawnych punktów widokowych.

grotę wspartą na kolumnach w kształcie ostrołuku. Wszystkie tarasy połączono schodami o 174. stopniach. Na każdym tarasie posadzono kwiaty, trawę i różne inne rośliny. Umieszczono tam także figury, z których latem tryska woda. Wśród kwiatów na uwagę zasługiwały liczne rododendrony. Roślinność posadzona w ogrodach dodawała uroku całemu zespołowi parkowemu. Dla lepszego efektu posadzono także roślinność pnącą. Cały park był utrzymany w stylu angielskim. Utworzono też liczne ścieżki i alejki. Wśród rzeźb,

Głazy Krasnoludków

W Sudetach Środkowych, na Dolnym Śląsku, w pow. kamiennogórskim, niedaleko wsi Gorzeszów w Zaworach, znajdują się Głazy Krasnoludków. Inne, rzadziej stosowane nazwy to Skały Krasnoludków, Skałki Gorzeszowskie. Uzupełniając: Zawory jest to mało znana, najdalej wysunięta na północ część Gór Stołowych. Ten zespół zabytków przyrody w formie skalnej, występujący od 1970 r. jako rezerwat ma długość około 1,5 km i szerokości około 0,2 km, zajmując obszar 9,04 ha. Wysokość najwyższego punktu wynosi 538 m. Teren porośnięty jest świerkowym borem z do-



mieszka sosny czy też brzozy. Ze zwiertzałego piaskowca ciosowego powstały fantastyczne formy skalne o kształtach maczug, grzybów, baszt czy nawet zwierząt, charakterystyczne dla tzw. rzeźby krawędziowej. Wąskie, wysokie szczeliny i rozstępy oraz porosty mchowe są ich uzupełnieniem. Wysokość skał wynosi od 5 do około 20 m. Występuje tu też ciekawa roślinność, jak np. chroniony dziewięciśli bezłodygowy czy konwalia majowa.

Wzdłuż Głazów Krasnoludków biegnie żółty szlak turystyczny, by jednak w pełni rozkoszować się widokami trzeba wspiąć się wyżej. Wydeptano tam „dziką” ścieżkę. Szkoda, że nie pomyślano o zalegalizowaniu jej, ponieważ, szanując przepisy obowiązujące przy poruszaniu się w rezerwacie, nie powinno się po niej chodzić. Mogłaby też przyjąć kształt szlaku okrężnego. Sporo osób przybywa tu tylko dla zobaczenia Głazów Krasnoludków. Zmuszeni są iść obecnym szlakiem i nim lub drogą poniżej wracać. Czas zwiedzania to około 1,30 godz. Trasa niezbyt trudna.



Jeśli wyjdzie się wyżej, ponad szlak na łąkę, oczom ukazuje się piękny widok na Kotlinę Krzeszowską z dopełniającym go zespołem opactwa w Krzeszowie. Nazwa Głazów związana jest z legendą o Krasnalach. Poczytać ją oraz szereg innych informacji można przy wejściu na teren rezerwatu. Zlokalizowano przy nim parking, miejsce na biwak czy też imprezy lub odpoczynek: zadaszenie, ławki, miejsce na ognisko. Obok szemrząc przepływa potoczek Jawiszówka. Wstęp i parking bezpłatnie. Jak dotrzeć do Głazów Krasnoludków? Można wystartować ze wsi Gorzeszów, liczącym 1,5 km szlakiem łącznikowym koloru czerwonego i dojść do styku z omawianym szlakiem żółtym. Inne warianty: start szlakiem żółtym (około 3 km) z Olszyn, wsi graniczącej z Chełmskiem Śląskim, lub z Jawiszowa (około 3 km). Dojazd środkami lokomocji publicznej, niestety, jest nienajlepszy. W ostatnią sobotę lipca corocznie odbywa się tu Złot Krasnali. Głazy Krasnoludków to miejsce mało znane, jednak warto zobaczenia. Odwiedźcie je. Radocha wielka.



Jerzy Maciejewski

Kościóły obronne okolic Wrocławia (6)



1254 r. Kostomłoty otrzymały prawo miejskie typu średzkiego. Na rynku zachował się kamienny pręgierz, a obok niego krzyż pokutny. W 1945 r. Kostomłoty utraciły prawa miejskie. W centrum dawnego rynku wznosi się kościół parafialny, który był wzmiankowany w 1201 r. W połowie XIV w. powstała obecna gotycka świątynia św. Gotarda, rozbudowana została w XVI w., powiększona o kruchtę, zaś w latach 1818-1819 o część zachodnią i wieżę. Murowany, orientowany jednonawowy, zachował prostokątne oskarpowane diagonalnie prezbiterium, nakryte dwuprzęsłowym sklepieniem krzyżowo-żebrowym. Wokół kościoła w XVII w. zbudowano mur kamienny z zachowanymi strzelnicami szczelinowymi.

14. Kostomłoty - dawne miasto, obecnie wieś gminna w pow. Środa Śląska. Pierwotnie miejscowość nazywała się Kościan i była jedną z najstarszych osad targowych z charakterystycznym wrzecionowatym planem. Wieś książęca, którą za relikwie (rękę św. Stefana) kupił palatyn Piotr Włostowic od Bolesława Krzywoustego i nadał kolegiacie św. Wincen- tego we Wrocławiu. W



Marcin Husak

WIELKOPOLSKA DREWNIANA

Weekend w Wielkopolsce. Dwa dni pełne odmiennych wrażeń, doznań towarzyszących grupie prudnickich PTTK-owców, docelowo zmierzających do dworku Marii Dąbrowskiej w podkaliszkim Russowie.

Sobota, 23.07.2011 r. Pierwszy dzień wędrówki pozostający tematycznie w kręgu urokliwej, coraz rzadziej spotykanej w ojczystym krajobrazie architektury drewnianej. Jakże różnorodnej. Świeckiej i religijnej. Obfitującej w skromne obiekty gospodarcze, funkcjonalne „gmachy” użyteczności publicznej i wyszukane w formach rezydencje. Zanim jednak zawitaliśmy do historycznej Polonia Maior, udaliśmy się do Bąkowa. W tej mało znanej wiosce niedaleko Kluczborka, leżącej z dala od uczęszczanych przez turystów szlaków, znajduje się jeden z najcenniejszych kościołków drewnianych na Opolszczyźnie. Świątynia pw. Wniebowzięcia NMP. Została wzniesiona na przełomie XV/XVI w., przez co uchodzi za jedną z najstarszych w regionie. Na szczególną uwagę zasługuje ołtarz główny w formie gotyckiego tryptyku z 1370 r., uważanego za najstarszy na Śląsku! Jest to wyjątkowe dzieło, godne największej uwagi! Wśród pięknego wyposażenia wnętrza warto zatrzymać się na dłuższą chwilę przed polichromiami nawy (Zwiastowanie) i prezbiterium (Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha Świętego) oraz drewnianym epitafium Elżbiety von Frankenberg. Zostało ono, co ciekawe, opatrzone napisem w języku polskim w 1676 r.! Warto, choć raz w życiu, przekroczyć próg tej wyjątkowej świątyni!

Ziemia wielkopolska przywitała nas na przedmieściach Bralina drewnianym kościołem, o wiele większym od opolskiego, pw. Narodzenia NMP „Na Półku”. Uchodzi on za jeden z trzech najcenniejszych zabytków tego typu w Wielkopolsce i został wzniesiony w 1711 r. na miejscu wcześniejszego obiektu w podzięce za uzdrowienie mieszkańców Bralina w czasie epidemii cholery. Trud budowniczych, których wspierał groszem bogaty handlarz solą z Rychtala, nie poszedł na marne. Budowla obchodzi w tym roku 300-lecie istnienia i po gruntownej renowacji wygląda imponująco. Założona na planie krzyża greckiego z wieżyczką na skrzyżowaniu ramion, otoczona obszernymi sobotami, ściąga wzrok z daleka. Poza walorami założenia architektonicznego turystów i pielgrzymów przyciąga obraz MB z Dzieciątkiem zwanej MB Półkowską. Świątynia została posadowiona bowiem w miejscu, gdzie zgodnie z przekazem na przełomie XIII/XIV w. doszło do cudownego przeniesienia wizerunku z bralińskiego kościoła parafialnego na pola pod miastem. Wydarzenie to zostało upamiętnione pierwotnie krzyżem, a następnie kapliczką. Obecnie Matka Boska spogląda na wiernych z malowidła umieszczonego w niecodziennym, XVIII-wiecznym, ołtarzu głównym. Wyjątkowości nadaje mu fakt, że jest dwustronny! Dodatkowo został on nietypowo usytuowany na skrzyżowaniu naw



Filar pałacyku w Antoninie



Ratusz w Sulmierzycach

Księstwa Poznańskiego, Antoniego Radziwiłła, według projektu Karola Fryderyka Schinkla – jednego z najwybitniejszych twórców klasycystycznych. Szczególne wrażenie na odwiedzających wywiera główna, trójkondygnacyjna sala, której centralne miejsce zajmuje filar, bogato przyozdobiony trofeami myśliwskimi, pełniący jednocześnie funkcję komina. Podtrzymuje on piękne sklepienie, nakrywające dwa rzędy balkonów wewnętrznych, wiodących gości do części hotelowej budynku. Na książęcych salonach bywał dwukrotnie Fryderyk Chopin, co upamiętnia pomnik w parku, salonik imienia wielkiego kompozytora oraz festiwal muzyczny o międzynarodowej randze „Chopin w barwach jesieni”.

Ostatni punkt sobotniego programu pozostał niejako na „deser”. Mowa o Sulmierzycach ze wspomniałym drewnianym ratuszem, uważanym za jedyny tego typu obiekt w Europie! Został on wzniesiony w 1743 r. i aż do 1939 r. przez bez mała 200 lat pełnił funkcję siedziby władz miejskich. Na parterze mieścił się areszt, archiwum i lamus, natomiast na piętrze urządował burmistrz oraz swoje posiedzenia odbywała rada. Obecnie budynek, kryty gontem, z uroczymi podcieniami daje schronienie Muzeum Regionalnemu Ziemi Sulmierzyckiej im. Sebastiana Fabiana Klonowica – wybitnego poety doby renesansu, który w tym mieście przyszedł na świat. Poza ratuszem na uwagę zasługuje również datowany na 1795 r. koźlak „Jakub”, nazwany tak od imienia fundatora. Trwa on mimo upływu lat i świadczy o rolniczym charakterze miasteczka, w których działało niegdyś dwanaście wiatraków.

Czas zdawał się pędzić i niepostrzeżenie dotarliśmy na nocleg w Russowie, gdzie urodziła się Maria Dąbrowska. Noc. Sen. Minął dzień pierwszy.

Cdn.

Leszek Kieniewicz

Wycieczka na Białoruś

Do Dereszewicz pojechałem jako pierwszy z rodziny od 89. lat. Dlaczego dopiero teraz, a nie dwadzieścia lat wcześniej? Każdy samochód wydawał się albo za dobry, albo za słaby. Takie nożyce strachu przed powrotem piechotą. Łatwo było mnie namówić na wycieczkę mazowieckiego PTTK. Trasa ułożona według sugestii stałych bywalców. W gruncie rzeczy dwa dni ustawili wielbicieli „Nad Prypecią, dawno temu”. Skład wycieczki był nastrojony nostalgiczno-patriotycznie, ale wydaje mi się, że poza nami nie była to pielgrzymka do stron rodzinnych. Raczej uzupełnienie Korony Kresów o miejsca tym cenniejsze, że rzadziej uczęszczane. Turnus „Nie tylko Polesia czar” obejmował nie tylko

Dereszewicze. Przez Słuck i Bobrujsk znaleźliśmy się aż w Mścislawiu, stąd na południe aż po Homel i następnie na zachód. Wjechanie od wschodu miało swój smak, bo dopiero dzięki temu zrozumiałem, że twarde Kresy pozbawione są nacjonalistycznego podtekstu. W Homlu płynęliśmy statkiem po Soży. Rzeka z gatunku „pierwsze słyszę”, ale rejs bardziej przemawiający niż potem górnym odcinkiem Prypeci. Po dwóch godzinach klimaty z Czechowa. W pakiecie znalazł się także Mozyrz i cały jeden dzień Horwattowski, a także kawał Białorusi Zadnieprzańskiej. Renesansowa synagoga w Bychowie zadaje w sumie kłam teorii, że granice Europy wytyczają same tylko kolegia jezuickie, jak w tym przypadku w Mścislawiu i Jurewiczach. Monastyr św. Mikołaja w Mohylewie to z kolei prawosławny barok. W Narowli w muzeum nie starczyło refleksu, by kupić – ot tak, ze ściany – mały krajobraz poleski. Poszedł w ręce jednej pani bywałej w świecie. Miejscowy artysta-monopolista miał zresztą w tej samej sali wystawę, ale pytany, czy nie ma prac powstałych na plenerach bardziej w górę rzeki, gotów był jedynie przyjąć zaliczkę na cokolwiek sobie zażyczę. To było zresztą jedyne muzeum nieprzyrodniczo-ludowo-rewolucyjne. W Mozyrzcu – droga na Górę Zamkową za stroma, by wylać asfalt. Po tych kamieniach zatem musieli jechać pradziadowie na sejmik powiatu. Teraz to jest wciąż ul. Dzierżyńskiego. W Mozyrzcu kamienica, w której mieszkali Bezdomni. Prowadzi do niej opadającym łukiem ulica, po której Dziadziusz zjeżdżał na sankach. W krypcie kościoła (obecnie cerkwi) jedyne na Białorusi mauzoleum ofiar NKWD. Czy istnieje światowa sieć muzeów czaszek?

Dereszewicze leżą pomiędzy rzeką z holownikami i koleją żelazną do Homla. To była, mówiąc składnią francuskich mediów (czyli *nominativus duplex*), lokalizacja-marzenie. Podobnie jak powojenne inwestycje Pradziada. Prypecki Park Narodowy chyba więcej niż w połowie musi składać się z puszczy. Za Petrykowem iglasty las, choć młody, był miejscami całkiem gęsty. Uznałem, że pora wystąpić wobec współpasażerów jako gospodarz. Przy pomocy czekoladek z kliukwą odkupiłem, jak sądzę, nieprzynoszenie przez dwanaście lat cukierków do szkoły. Pogoda była słoneczna, ale zapas cierpliwości towarzyszy oceniałem na jakąś godzinę nad celem. Musiałem utrzymać uwagę autokaru na niczym. Tablica DERESZEWICZE i nic. Bo to nie była ta tablica, o którą chodzi. Ważne natomiast, że uniknęliśmy kontaktu ze wsią o tej samej nazwie. Właściwy skręt wskazała Gizela Chmielewska z Bydgoszczy. Dalej orientowaliśmy się już na starodrzew.

Stanowisko archeologii pamięci Dereszewicze-Park. Obszar wykopalisk zaczyna się od tablicy. Takiej, jak te informujące o inwestorze zastępczym. Blaszana, poobijana i bogata w pokrętną treść, sprowadzającą się do tego, że nie wolno. *Pamiętnik kultury ohranijetsia zakonom. Wodoohrannaja zona*. Na dole dopisek flamastrem: *Pry Poliakach, pry Niemcach, pry komunistach – było można?* Za tablicą, jak to w zonie, wszystko wydawało się już inne. Najpierw ponad chaszcze wystaje prosty drewniany krzyż. Obok starannie obmurowane groby. Małe i duże. Ciotki i dzieci. Stojąc przed kaplicą napotkałem wzrok Jarosława Komorowskiego. Strażnik grobów kresowych skinął przyzwalająco głową. Wszedłem po schodkach ponad łańcuchem. Poczulem się, jakbym wstąpił na czerwony dywan. Gdy w końcu docieramy do rzeki niczym w powieści Siesickiej, zjawił się miejscowy nauczyciel, Aleksander Pawłowicz Paszuk, który miejscem się opiekuje i jako wnuk współpracującego z dworem stelmacha z Łopczy zna całą tradycję ustną.

Obecny układ traktów wewnątrz parku nie pokrywa się z historycznym. Świerki głównej alei poszły na niemiecką przeprawę. Pan Paszuk posadził w ich miejsce szkółkę. Od tablicy gruntówka prowadzi do pomnika poległych marynarzy i alei sławy. Dzięki czynowi społecznemu, zainicjowanemu przez Paszuka, status Bryniowa i Dereszewicz na mapach turystycznych i samochodowych został utrzymany. Jest na nich znak, że jest tam pomnik, że coś jest. Sama aleja, założona przez miejscowych pionierów w 1980 r., przypomina sad. Drzewka pobielone wysoko. Tego samego łańcucha, słupków i farby starczyło na zabezpieczenie także naszych grobów i fundamentów rodzinnej kaplicy. Nie widziałem tak starannie umocnionych grobów ani w Pińsku, ani w Mohylewie. Paszuk rozkręcił się i leciały same anegdoty. Stanisław Poczobutt tłumaczył. Niestety, zabrakło refleksu, by włączyć dyktafon w telefonie. Opowieść o tym, jak Antoni Kieniewicz godnie dał odpór rekietnikowi, owszem, podrzucając mu dyskretnie cielaka na wóz, brzmi dziś jak epizod z dobranocki o Rumcajsie. Co jeszcze przechowała wdzięczna pamięć? W 1908 r. czterdzieści chałup spaliło się we wsi i pogorzelnicy mogli sobie za darmo wyrąbać w lesie, by się odbudować. Słowin – osada ze Śląska. O mazurskiej już jednak nie słyszał. Złodziei gospodarz Dereszewicz zawstydział. Do każdego bez wyjątku zwracał się *per Wy*. Innym znowu razem wiedział, że szerokie skiby po to były, aby można się w nich było z dziewczyną schować. Kolejki z przystani do Kopcewicz Niemcy nie zdążyli w 1944 r. zdemontować. Należy rozumieć, że

zdemontowali ją Rosjanie. „Wisła”, czyli dom warszawski na Czerwonego Krzyża, była tak blisko rzeki. Olśnienie, że „nad Prypecią” to nie jest tylko metonimia Dereszewicz. W moim życiu nigdy nie było dotąd rzeki. Zasilana wodą z melioracji Dereszewiczanka migocze pomiędzy liśćmi jak Białka na Bukowinie. Ale wielka woda stoi jak guma arabska. Miodem płynąca. Nie zmąciłbym jej. Trzeba się było wykapać. Nie przyszło mi to do głowy. Przeżegnałem się z wody. Z prawej ujście Dereszewiczanki i dawna przystań. Z lewej, wyjaśnia Aleksander Paszuk, leżą Żydzi z Petrykowa. A więc wszystko tu jest. Jak w Ziemi Świętej, jak przy pierwszym brodzie od morza. Jesiotry z czarną ikrą dopływały pod samą kapliczkę. Brakuje tylko głuszców zlatujących się na barć na sąsiednim dębie. Albo klonie. Od dębów marszobieg za Paszukiem aleją, tak jak była naprawdę, czyli na przełaj przez pokrzywy. Ogon towarzyszy wykrusza się. Brodząc w krzakach zwiedzamy miejsce po *tygrysie*. Paszuk wie, gdzie było okrągłe, a gdzie owalne oczko. Tutaj gazon angielski – oświadczył nagle – skrzyżowanie alej do kaplicy i do szklarni. Barwinek taki sam jak pod oknem gościnnego pokoju na Zaciszu. Nie udało się dowieść żywej rozsady. Docieramy na zarośniętą polanę, gdzie stał dwór. Paszuk opowiada, że na zarosłej samosiejką polanie jako komsomolec grał w piłkę i przyprowadzał tu dziewczyny. Co czułem słysząc, że w 1920 r. we dworze kwatrowali Woroszyłow i Stalin? Wszystko da się przedstawić jako pozytywną narrację. Pozytywną, czyli taką, którą można sprzedać w tygodniku ilustrowanym. Niech się schowa plebania w Wyszkuwie. Wszedłem na ostatnią dziką jabłonkę nad brzegiem, którą widać na zdjęciu z 1913 r. Czy mogłem nie zaproponować pieniędzy? Na pożegnanie Paszuk przyniósł szyszki ze świerków, których pogłowie odbudowuje.

Bryniów. Trasę udało się zrealizować w taki sposób, by przejechać przez całe dobra, na boku pozostawiając jedynie Kopcewicze. Wszystko wskazuje na to, że Bryniów to jakieś przedmieście Sierpa i Młota. Z programu wycieczki wynikało, że dwór w Bryniowie jeszcze stoi. Jednak okazało się, że program został napisany na wyrost. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że Bryniów został spalony już przez bolszewików. Nie wiem, czy to sprzeczna informacja z relacją Putramenta, który go jeszcze widział. Ktoś z towarzyszy podróży ćwiczy chwyt reportażowe: *A Państwo, jak się nazywali?* Dobrzy byli, ale nie mieli dzieci. Jest w tym jakieś zdziwienie, ślad dawnego współczucia, które przeszło w zadumę. W każdym razie nie ma żadnej ulgi z powodu braku dziedzica. Nikt ponuro nie powiedział: *Spodziewałam się tej wizyty*. Historia tędy przeszła i czas po niej stanął, dając pole pamięci. Dom pani Białostockiej stoi na fundamentach dworu. Mąż umarł po tym, jak usuwał skutki Czarnobyli. Czworo dzieci jest w Szwecji. Mały francuski samochód w nieutrzymanym obejściu. Trudno ocenić, jak dwór był zorientowany w stosunku do drogi, która oddziela dziś posesję od stawów. Ponownie pomnik bohaterów z II Wojny Światowej. Polski ksiądz z Austrii przyjeżdża do kościoła z białej cegły w każdą sobotę. Wieczorem odbywają się polskie modlitwy. Gdybyśmy o naszej wizycie uprzedzili, to urzędowo by imprezę przy ognisku. Fundamenty muszą być i w Dereszewiczach. Może butelka starki by się jeszcze gdzieś znalazła. Do głowy przychodzi mi próbka rodzinnego myślenia: gdybym zaczął kopać, to znalazłbym niewybuch. Albo niewypał. Kawałek muru nad rzeką należeć musiał do przystani.

Archeologia pamięci. Tymczasem blaszana stela z Dereszewicz wciąż przemawia. *Za Polaków*, czyli – w XIX w. To by się zgadzało. Polskość najbardziej jest widoczna, gdy Polski nie ma. Przypomina się kwestia z filmu Sergio Leone *Dawno temu w Ameryce: In Kishyniow, Poland*. Dereszewicki dwór formalnie nigdy w Polsce nie stał. A jednak była to najprawdziwsza Polska właśnie. Tak jak *cottage* w Old Scone. Przy okazji, skoro mowa o pamięci: tę scenę wciąż pamiętam inaczej niż na DVD. Gdy po raz pierwszy widziałem ten film w kinie „Kijów” w Krakowie, był to dialog Maxa i Noodlesa na ulicy: *„Skąd jesteście? Z Kiszyniowa. A gdzie to jest?! A bo ja wiem? Gdzieś w Polsce!”*. Film wyświetlano równocześnie także pod tytułem *Zdarzyło się w Ameryce*. Może więc w Krakowie zobaczyłem inną wersję, nie reżyserską? Zdolność wspomniania to jedyna rzecz, która poprawia się nam z wiekiem. Dziś w jednym życiu przeżywamy kilka żyć. To właśnie szok przyszłości, wywołał napisanie *Wspomnień zamierzchłej przeszłości*. Historia jest jedyną, poza fizyką, nauką o czasie. Poczucie czasu jest naszym głównym narzędziem. Historyk nie jest od pamiętania. Smak życia towarzyszy nam, póki zachowujemy zdolność generowania wspomnień. Czyli tego, co niepowtarzalne. Jedno, co wiemy o historii to na pewno to, że się nie powtarza. Jedno, co wiemy o wspomnieniach to to, że chcemy się nimi dzielić. Wspomnienia muszą zachować dendrologiczną ciągłość. Wtedy mamy już pamięć. I wiem, że byłem autorem bliskiego spotkania III stopnia dla emerytowanego nauczyciela wiejskiej szkoły na zapadłej białoruskiej prowincji. Jestem mu winien rodzinne zdjęcia do gazetki szkolnej.

JESIENNE OSTATKI W TATRACH

W drugiej połowie września, jak co roku, wybrałem się na jesienny wyjazd w Tatry, którego organizatorem był Oddział PTTK przy Politechnice Wrocławskiej. Wyjazdy te odbywają się już od ponad trzydziestu lat. Tak więc 20. września wyruszyliśmy z Wrocławia politechnicznym autobusem do Białego Dunajca, gdzie mieliśmy zapewnione noclegi i obiadowe kolacje.

Poranek dnia następnego przywitał nas zachmurzonym niebem, bez widoczności gór, ale niezrażeni tym pojechaliśmy do Doliny Chochołowskiej. Każdy uczestnik wybierał trasę pod kątem swojej kondycji fizycznej. Ja ruszyłem szlakiem czerwonym na Trzydniowiański Wierch. Prowadzi on początkowo przez las mocno w górę, później ścieżką po kamieniach wśród kosodrzewiny na szczyt. Z powodu nisko zalegających chmur, widoków ze szczytu nie było żadnych. Ruszyłem więc w dalszą drogę szlakiem zielonym przez Kończysty Wierch wzdłuż granicy polsko-słowackiej na Starorobociański Wierch (2176 m), który jest najwyższym szczytem w Tatrach Zachodnich po stronie polskiej. Z wierzchołka rozciągał się wspaniały widok na szczyty wystające ponad chmury. Po chwili ruszyłem na Bystrą – najwyższe wzniesienie w Tatrach Zachodnich po stronie słowackiej (2248 m). Stąd zszedłem przez Błyszczę na Liliowe Turnie, na których ujrzałem widmo Brockenu – skomplikowane zjawisko optyczne, polegające na ujrzeniu własnego cienia z kolorową aureolą na zalegających niżej chmurach. Po tym wspaniałym przeżyciu ruszyłem przez Siwą Przełęcz, Ornak i Iwaniacką Przełęcz do Doliny Chochołowskiej, gdzie za drobną opłatą wypożyczyłem rower i nim zjechałem na Siwą Polanę, gdzie czekał nasz autobus.

Następnego dnia w doskonałych nastrojach wyruszyliśmy na Słowację do Starego Smokowca. Z urokliwego miasteczka wjechaliśmy naziemną kolejką (podobną do tej, którą można wjechać na Gubałówkę) do Hrebienoka. Ruszyłem Tatrzańską Magistralą do szlaku niebieskiego, prowadzącego na Sławkowski Szczyt (2452 m) – cel dzisiejszej wycieczki. Trasa wiodła w górę lasem, a następnie wśród kosodrzewiny po kamiennym rumowisku skalnym. Ze szlaku podziwiałem w dole Dolinę Staroleśną, a w górze m.in. Łomnicki Szczyt, na który można jedynie wjechać wagonikiem lub wejść z przewodnikiem. Pogoda była słoneczna, chociaż w dolinie były chmury, które podnosiły się coraz wyżej. Po dotarciu na wierzchołek rozpostarł się wspaniały widok na otaczające szczyty – jednak nie dane mi było cieszyć się tym widokiem długo, ponieważ w kilka minut później szczyt został całkowicie spowity przez chmury. Droga powrotna była dość monotonna (ze względu na całkowity brak widoczności) zejściem po kamieniach. Poszedłem następnie szlakiem czerwonym do Schroniska Zamkowego. Po drodze minąłem Wodospad Olbrzymi, którego nazwa mówi sama za siebie. Strumyk Mała Zimna Woda spada z wysokości 20 m w wąską czeluść skalną. Szlak w drodze powrotnej doprowadził mnie do Staroleśnej Polany, gdzie znajduje się Chata Rainera – najstarsze schronisko w Tatrach. Jest to mały budynek ozdobiony w środku starymi zdjęciami,



Widmo Brockenu z Liliowych Turni. Fot. Roman W.



**Chata Rainera – najstarsze schronisko w Tatrach.
Fot. Piotr Gliszczyński**

prowadzą ułożone z drewnianych belek schody. Z powodu chmur ze szczytu nie było nic widać, ruszyłem więc dalej w kierunku Doliny Pańszczycy, a następnie na przeł. Krzyżne. Po drodze minąłem Czerwony Staw, który jesienią miewa niski poziom wody, odsłaniając zabarwione na czerwono kamienie, biorących od nich swoją nazwę. Z Krzyżnego ruszyłem na Skrajny Granat (moim zdaniem najtrudniejszy odcinek Orlej Perci). Szlak ten jest bardzo eksponowany i obfituje w łańcuchy, klamry i drabinkę. Po dotarciu do Skrajnego Granatu stwierdziłem, że jest za wcześnie na zejście, postanowiłem więc ruszyć kolejnym odcinkiem perci przez Granaty (aż do Żlebu Kulczyńskiego), który nie jest już tak wymagający jak poprzedni. Zejście Żlebem nie jest przyjemne ze względu na dużą ilość drobnych kamieni i żwiru, na którym bardzo łatwo stracić równowagę. W drodze do Murowańca minąłem malutki Zmarzły Staw i znacznie większy Czarny Staw Gąsienicowy. Z Murowańca ruszyłem na Przeł. między Kopami, skąd prowadzą dwie drogi do Kuźnic – przez Boczań lub Dolinę Jaworzynki. Wybrałem tę drugą, która może nie jest tak widokowa, ale bardziej przyjazna do schodzenia. Z Kuźnic dojechałem autobusem do Ronda, skąd zabrał nas autobus.

W sobotę wyruszyłem wraz z dziewięcioosobową grupą przyjaciół. Autobus zawiózł nas do Zdziaru na Słowacji, skąd poszliśmy jednokierunkową ścieżką dydaktyczną przez Szeroką Przełęcz na Przeł. pod Kopą. Droga prowadziła w górę przez las wzdłuż potoku; po osiągnięciu wysokości ukazały nam się wspaniałe widoki na szczyty. W Szerokiej Dolinie widzieliśmy również stado około piętnastu kozic oraz kilka świstaków, buszujących wokół swojej norki. Z Szerokiej Przełęczy odchodził kiedyś szlak na Płaczliwą Skalę, lecz został on zamknięty przez TANAP, trwają jednak starania, aby go ponownie udostępnić turystom. Następnie ruszyliśmy dalej do Przeł. pod Kopą i do Białego Stawu, gdzie jest idealne miejsce na dłuższy odpoczynek. Staw jest położony w dolince, wokół traw i kosodrzewiny z ładnymi widokami na szczyty. Po odpoczynku doszliśmy do Schroniska pod Szarotką. Swą nazwę zawdzięcza ono roślinie tak często spotykanej w Tatrach Bielskich. Po uzupełnieniu płynów udaliśmy się dalej trawersem przez las, następnie przez wiatrołom, a w końcu do szosy w Tatrzańskej Kotlinie, skąd zabrał nas autobus.

W ostatni dzień wycieczki wybraliśmy się do Zakopanego. Z przyjaciółmi udałem się do starego drewnianego kościoła na Pęksowym Brzysku, nieopodal cmentarza, na którym znajdziemy nagrobki wielu słynnych postaci tworzących historię Zakopanego (m.in. Przerwy-Tetmajera, Krzeptowskiego, Sabały, Długosza, Makuszyńskiego). Podczas spaceru po mieście udało mi się zrobić zakupy na targu pod Gubałówką i zjeść obiad w jednej z wielu restauracji na Krupówkach. No i o godz. 13. wyjechaliśmy do domu. Do zobaczenia na szlaku!

czekanami, rakami i innym starym wysokogórskim wyposażeniem. Następnie udało mi się zobaczyć kolejne w tej okolicy wodospady (Wodospady Zimnej Wody). Wróciwszy do Hrebienoka zjechałem kolejką do Smokowca, gdzie czekał nasz autobus, którym wróciliśmy na nocleg.

W czwartym dniu wycieczki autobus zawiózł nas do wylotu Doliny Filipka, skąd ruszyłem w kierunku Rusinowej Polany. Po drodze minąłem stylową drewnianą Kaplicę MB Jaworzyńskiej Królowej Tatr, która o tak wczesnej porze była zamknięta. Szlakiem zielonym dotarliśmy na Gęsią Szyję, na którą

Szalom aleichem – krakowski Kazimierz

Zagubiłam się w ulicy,
gdzie światłocień najciekawszy,
Tam, gdzie barwy swoje zbiera
Chłopiec z twarzą Ahaszwera.
Zagubiłam się w ulicy już na zawsze.

„Spacer po Kazimierzu” Ania Suchocka

Patrzę na płaskorzeźbę Henryka Hochmana, umieszczoną na dawnym ratuszu kazimierskim przy pl. Wolnica w Krakowie. Napis pod nią brzmi: „Przyjęcie Żydów do Polski w średniowieczu”. Przez wieki Polacy i Żydzi współlistnieli. Wiktor Zin w „Pięknie utraconym” nazywa to współlistnienie „sceną, na której zawsze występowali Polacy i Żydzi spleceni ze sobą interesami zgodnymi lub sprzecznymi”. Myśląc o holocauście podkreśla, że zejście Żydów z tej sceny było „niepolskie i nieludzkie zarazem”. Pozostawili po sobie trwałe ślady własnej tradycji i kultury, które obecnie zaczynają się odradzać. Potocznie uważa się, że niemalym tego przyczynkiem był film Stevena Spielberga „Lista Schindlera”, który kręcono w naturalnej scenerii tej żydowskiej dzielnicy. Po filmie zainteresowanie świata Kazimierzem okazało się ogromne. Między innymi aspektami, wpisanie krakowskiej dzielnicy żydowskiej na listę UNESCO ma spore dla niej znaczenie. Atmosfera Kazimierza bardzo różni się od tej, która towarzyszy np. Rynkowi Głównemu w Krakowie. Nie ma tutaj ulicznych *staczy* (nieruchomych przebierańców), nie ma beztrudnych chłopców od *break dance*, różnej maści kuglarzy, hałaśliwej, wykluczającej się wzajemnie muzyki, intrygujących fakirów, licznych sprzedawców ulicznych itp. Po tej dzielnicy spaceruje się w luźnej przestrzeni. Ustawiona na ul. Szerokiej tablica z wytyczoną trasą zabytków żydowskich może pomóc tym, którzy mają napięty program. Najlepiej jednak nigdzie się nie śpieszyć i pozwolić sobie na smakowanie klimatów. A te są egzotyczne i zasadniczo się różnią od tych, do których nawykliśmy.

Dzisiejsza ul. Szeroka była rejonem, w którym Żydzi zaczęli się osiedlać w XIV w. Na niej stanęła pierwsza Synagoga, określana jako Stara Synagoga (najstarsza z zachowanych w Polsce). Dzisiaj nie pełni już swej pierwotnej funkcji. Mieści się w niej muzeum, w którym prezentowane są dzieje i kultura Żydów. Wspaniałe miejsce, do którego powinien pierwsze kroki kierować każdy, niezorientowany w tej materii. Stykając się z tak odmienną od polskiej tradycji kulturą i obyczajem narodu, który przez wieki jak w skałę drażył swoją tu obecność, warto chyba przyswoić sobie nieco informacji na temat jego historii. Moje zwiedzanie byłoby bardzo nieudolne, gdybym pominęła to muzeum. Jestem pod ogromnym wrażeniem staranności ekspozycji, jak i sposobu prezentowania tego wszystkiego, co Żydów dotyczyło i dotyczy. W pięknej architekturze wnętrza z XV w., które muzeum przestrzennie zaadaptowało dla swoich potrzeb, wyróżniają się trzy działy: historia, święta oraz życie rodzinne i prywatne. Jawi się bogactwo eksponatów, liczne obrazy ze scenami rodzajowymi z życia Żydów, aranżacja obrzędów i przedmiotów temu służących. Z każdą chwilą coraz bardziej wszystko to zajmuje i wciąga. Nie ma mowy o nudzie. Pierwszy raz patrzę na ażurową metalową bimę (podwyższenie służące do





czytania Tory), na świętą arkę służącą do przechowywania zwojów Tory, na zasłonę i lambrekin służące do jej przysłonienia. Także na symbol judaizmu, przepiękny synagogałny świecznik z XVII w., którego nazwa brzmi *menora*.

Nic nie dzieje się tu przypadkowo: każdy przedmiot, zdobienia, każda materia mają szerokie uzasadnienie, swój powód do zaistnienia. Wszystko głębokimi korzeniami sięga do pradawnych dziejów i religii tego narodu. Jego święta wywodzą się z Biblii: Szabat (w który zakazana jest jakakolwiek praca), Nowy

Rok (obchodzony we wrześniu lub październiku), Święto Namiotów (trwa siedem dni, obchodzone jest po Nowym Roku), Chanuka (trwa osiem dni – upamiętnia kult w Świątyni Jerozolimskiej), Purym (w lutym/marcu – wesołe święto na pamiątkę ocalenia Żydów w starożytnej Persji), Pesach (na pamiątkę ucieczki Żydów z niewoli w Egipcie).

Malka Kafka w wywiadzie, udzielonym *Polityce* (wydanie specjalne „Sztuka życia” 5/2011), święto Pesach opisuje tak: Bóg powiedział Izraelitom: wyjdźcie tej nocy. Nie dał czasu na przygotowanie. Wyrobione ciasto na chleb nie zdążyło wyrosnąć. Z tego, co było, upiekli podpłomyki i wyruszyli na pustynię. Na pamiątkę tego zdarzenia jedyne pieczywo dozwolone w Pesach to maca. Symbolizuje ona nieprzywiązywanie wagi do tego, co terazniejsze, ciągłą gotowość do wyjścia, do uwolnienia. W muzeum patrzę na piękny talerz ze srebra, zwany talerzem sederowym. To na nim serwuje się świąteczne potrawy Pesach. Talerz przedstawia wyjście Izraelitów z Egiptu na pustynię. Oprócz świąt toczyło się zwykłe życie. To rodzinne i prywatne także poddane było ustalonym regułom, np. obowiązkowi sporządzania stosownych dokumentów na życiowe okoliczności: zaręczyn – kontrakt przedślubny, ślubu – kontrakt małżeński, rozwodu – list rozwodowy. Z dokumentów wynikały obowiązki męża wobec żony – określone środki na jej utrzymanie po ewentualnym rozwodzie lub w razie wdowieństwa. Bardzo



praktyczne podejście do życia w każdej dziedzinie. Wszystko ustalone. Jak najmniej miejsca dla chaosu. Przy wyjściu, w ścianie, znajduje się skarbona z 1638 r., opatrzona napisem nakazującym dobroczynność, która „jest jednym z najważniejszych obowiązków religijnych judaizmu” (przewodnik Muzeum: „Dar w skrytości [dany] uśmierza gniew”). Portfel sam mi się otwiera.

Synagogi są dostępne dla turystów od poniedziałku do piątku. Jednakże np. jesienią i zimą w piątki godziny ich zamknięcia są płynne. Wyznacza je nie określona godzina, lecz zachód słońca. Zasada ta obowiązuje także w przeddzień świąt żydowskich. W czasie II wojny światowej synagogi, które nie spłonęły lub ich nie wyburzono, zostały zdewastowane. Ich wnętrza służyły za magazyny, stajnie dla koni, a cmentarz przy Synagodze Remu był wysypiskiem śmieci. Dobrym znakiem naszych czasów jest to, iż podjęto się dzieła starannego ich odrestaurowania. Pierwotnie niektóre z nich zakładane i budowane były przez bardzo majątnych Żydów, jak np. Izaaka, jak i z funduszy Gminy Żydowskiej, np. Kupa (co znaczy Skarbczyk), zwana synagogą ubogich. Niezależnie od fundatorów charakteryzuje je wspaniała architektura i bogata sztuka: piękne malowidła, ornamenty, freski, witraże, żyrandole.

Cdn.

Juliusz Wystouch

ZIMNA DZIURA

Dotychczasowe nizinne doświadczenia z Jaskinią Bajka i wizyty w Jaskini Niedźwiedziej dostarczyły motywacji do szukania ciekawego obiektu „w środku Ziemi”, dostępnego bez większych trudności. Planując wypad w Beskid Wyspowy i Gorce zaznaczyliśmy na trasie Zimną Dziurę w Strzeblu (Szczebłu). Jakoś dawnymi laty nie sięgnąłem w Beskidzie Wyspowym na północ dalej niż na przeł. Glisne. Teraz miało być inaczej. Jaskinia była jednym z głównych celów wyprawy.

Bazą wypadową może być schronisko na Luboniu Wielkim. Żeby tam dotrzeć, dojeżdżamy bądź dochodzimy z Rabki do Zarytego, skąd idziemy żółtym szlakiem – Percią Borkowskiego. Od razu uprzedzam, że końcówka szlaku to dość trudna przeprawa skalna, porównywalna z fragmentami Perci Akademików na Babiej Górze, tyle że bez klamer i innego żelastwa. Po dojściowym odcinku leśnym pokonujemy strome kamienne rumowisko, a potem szlak wiedzie równie stromo po skałach. Przekraczamy grańkę i schodzimy z niej wykorzystując umiejętności wspinaczkowe. Z ciężkim plecakiem jest trochę roboty. Z grańki schodzimy w zagłębienie pod kolejnym spiętrzeniem, idziemy u stóp skalnej ścianki, a okrążywszy ją skręcamy ostro w lewo i stromo podchodzimy na główny grzbiet Lubonia Wielkiego. Wreszcie mijamy stację przekaźnikową i stajemy u drzwi schroniska. Tu zatrzymujemy się na nocleg. W tym niezwykłym schronisku jest niewielka jadalnia z bufetem i jedna 9-osobowa sala sypialna. Obok schroniska tzw. bacówka – domek noclegowy z kilkunastoma miejscami. Wieczorem, jeśli dopisuje pogoda, podziwiamy zachód słońca – jest na co patrzeć.

Po śniadaniu, zabrawszy co trzeba na kilkugodzinną wycieczkę, ruszamy czerwonym szlakiem w kierunku Glisnego. Po kilku minutach marszu razem ze znakami żółtymi (odbijają w dół na Perc Borkowskiego) nasz szlak skręca w lewo, a po kilkudziesięciu metrach zaczyna się strome zejście. Perc, bo już nie ścieżka, zbiega stromo, jest kamienista, a miejscami schodzimy po skalnych grzebieniach. Podczas zejścia kilka krótkich odcinków odpoczynkowych o mniejszej stromiznie, generalnie bardzo stromo. Zbliżamy się do granicy lasu i nagle robi się niemal płasko, wchodzimy na ścieżkę przecinającą łąkę.



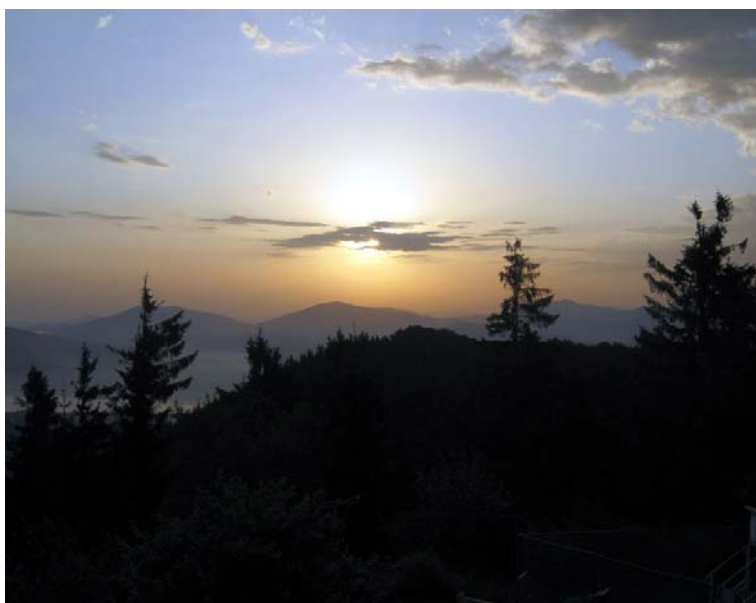
Wzdłuż szpaleru drzew docieramy do pierwszych zabudowań wsi na Glisnem (634 m). Dochodzimy do szosy, na wprost tabliczka kierunkowa szlaku czerwonego z napisem Luboń Wielki. Dalsza droga szlakiem zielonym. Teraz uwaga! Na niektórych mapach pokazano szlak zielony idący szosą w lewo jakieś 300 m i potem odbijający na północ w kierunku Strzebla (Szczebła). Prawda wygląda nieco inaczej. Trzeba pójść w prawo około 150 m i tam skręcić w lewo (na północ) między zabudowania. Tu spotkamy znaki zielone. Najpierw asfaltem, potem po betonowych płytach, wreszcie gruntową drogą między zagrodami łagodnie podchodzimy ku północy w kierunku Strzebla. Tak naprawdę, to kilka dróg odchodzących z przełęczą na północ zbiega się na jednej grzbietowej wiodącej na wierzchołek.



Podejście nie jest specjalnie strome i uciążliwe, idzie się dość wygodnie na dość obszerny wierzchołek (977 m), gdzie znajdują się miejsca odpoczynkowe (stoły i ławy, miejsce na ognisko), duża mapa i stacja Szlaku Papieskiego. Warto zatrzymać się na chwilę przed odcinkiem do jaskini. Chwila wytchnienia przyda się na pewno, bo zejście jest strome i stopom przyda się odpoczynek. Krótki odcinek schodzimy łagodnie mijając skalne wychodnie, potem skręcamy w prawo i zaczyna się dość ostre zejście. Szlak „kręci” po zboczu, należy uwa-

żać na znaki. Schodzimy tak nisko, że wydaje się, że zeszliliśmy za daleko i przegapiliśmy jaskinię. Ale nie. Nie sposób ją przegapić. Znajduje się na płaskim odcinku szlaku w niszy na zboczu na wysokości 655 m. Od otworu wejściowego wieje chłodem.

Zejście do dziury jest dość łatwe. Zakładamy kurtki i wyciągamy latarki, żeby zobaczyć cokolwiek we wnętrzu. Jest bezpiecznie, tyle że zimno. Nazwa Lodowa bądź Zimna Dziura całkowicie od-



powiada rzeczywistości. Warto spędzić w niej kilkanaście minut i dokładnie obejrzeć jej wnętrze. Na Strzebel i do schroniska na Luboniu Wielkim wracamy tą samą drogą. Najpierw trzeba odrobić „stracone” 322 m wysokości i wrócić na Strzebel. Potem gubimy około 340 m podczas łagodnego zejścia na Glisne. Potem podejście na Luboń – dokładnie 388 m. Pamiętajmy o długich stromych odcinkach. Po paru godzinach wędrówki podejście może dać się we znaki. Należy potraktować trasę jako całodniową. Czystego przejścia jest, co prawda (według przewodników i map) 6 godz., ale warto zarezerwować jeszcze co najmniej godzinę.

Maciej Besta

Patronat medialny „Na Szlaku”

Ural Subpolarny (3)

Poniedziałek, 7 marca 2011

Kolejny dzień magii. Kolejny dzień próby naszych sił. Zostawiamy część bagaży, przede wszystkim wielkie ilości jedzenia na powrót, po czym ruszamy w serce gór. Pokonujemy kolejne obłe przełęcze, a białe pustkowia wokół nas, pozornie tak nieprzyjazne, jest bliskie sercu. Mroźny wiatr, niskie temperatury, utrzymujące się na poziomie -20° , -25°C ., cisza, pustka oraz nieustanny wysiłek wkładany w poruszanie się z ciężkim plecakiem – to wszystko zdaje się tak naturalne, tak potrzebne, tak konieczne. Będąc w tym niegościnnym miejscu czuję wyraźniej obecność Boga w sercu, radość z czystości bieli śniegu, z krótkich chwil wytchnienia, z majestatu i potęgi drzemiącej wszędzie wokół. O zachodzie Słońca droga się kończy. Okazuje się, że wielosetmetrowe wejście do doliny Manaragi jest zbyt strome, a ślady po lawinach i świeży śnieg przypominają o kruchości życia człowieczego i o tym, że dany nam rozsądek i logiczne myślenie jest czymś bezwzględnie koniecznym w trakcie ekspedycji. Rozbijamy namiot, lecz zanim po raz kolejny ucieszymy podniebienia smakiem gorącego ryżu, dane nam będzie doświadczyć czegoś niezwykłego. Widząc, jak niesłychanie urzekająco zachodzące słońce maluje kolory nad doliną Manaragi, w nagłym porywie decydujemy się na szybką wspinaczką na okoliczny szczyt, ścigając różowe światło. Po wyczerpującym biegu niemalże stajemy ponad doliną z zapartym tchem, czując, jakby dusze w nas klękały na widok cudu rozpościerającego się wokół. Tęcza przecinająca dolinę oraz załamujące się światło barwiące delikatnym odcieniem różu obłe, majestatyczne masywy śnieżne urzekają mnie głęboko, zapadają w pamięć i poruszają wyobraźnię. To jedna z tych chwil, które pozostaną w pamięci na zawsze.

Wtorek, 8 marca 2011

Nocą termometr osiąga minimum, wiemy, iż jest poniżej -30°C , lecz ile dokładnie, nie mamy pojęcia. Rankiem temperatura minimalnie wzrasta, lecz bardzo silny, porywisty wiatr wzmaga odczuwalne zimno do poziomu z pewnością przekraczającego magiczne -40°C . W dwójkę z Dzikim ruszamy na wyprawę na okalające dolinę granie i szczyty. Wyżej wieje bardzo mocno, lecz to przecież było od początku naszym celem! Dzień mija szybko, kolejny raz zachwycając nas głębią i siłą doznań, których nigdzie w bardziej cywilizowanych rejonach nie jest dane doświadczyć. Samotna walka z potęgą przyrody, przewyciężanie własnych słabości, pustka i cisza przerywana tylko odgłosami smagania przez wiatr. Tak mija dzień, w trakcie którego zdobywamy kolejny uralski szczyt, i podziwiamy panoramę Manaragi z innej perspektywy.

Środa, 9 marca 2011

Po kolejnej bardzo zimnej nocy wspinamy się o świcie na wznoszący się nieopodal szczyt, żegnając pełną wdzięku Manaragę. Rozpoczynamy odwrót. Przed nami wszak 150 km marszu, w prawdopodobnie bardzo ciężkich warunkach śniegowych. Po drodze do pozostawionego sprzętu pęka mi wiązanie w nartach, ale na szczęście pulki i rakiety śnieżne są blisko, więc prowizoryczna naprawa musi wytrzymać tylko kilka kilometrów. Niedługo potem napotykamy dużą ekipę Polaków, z którymi zamieniamy kilka ciepłych zdań. Nie zatrzymując się jednak na długo, zdeterminowani, by pokonać również tego dnia spory dystans, maszerujemy dalej, aż docieramy do zrujnowanych chatek po dawnych pasterskich reniferów. Chatki są w zbyt opłakanym stanie i nie zachęcają do noclegu, tak więc rozbijamy namiot.

Czwartek, 10 marca 2011

Po dłuższym marszu docieramy do kopalni, gdzie zatrzymujemy się na noc. Powoli żegnamy widoki właściwego serca Urалу, lecz z radością spoglądamy ku pustkowiom rozpościerającym się między

nami a Intą. Nocą, przy porażającym zimnie, spędzam długie godziny na fotografowaniu – z użyciem statywu - zorzy polarnej. Lśniące, zielonkawe pasy przecinają niebo, falując i rozpalając coraz to nowsze połacie atramentowej czerni kosmosu.

Piątek, 11 marca 2011

Silny wiatr towarzyszy nam od samego rana, podobnie jak piękna pogoda. Mamy naprawdę niezłe tempo, maszerując przez kolejne doliny pokonujemy tego dnia około 25 km. Rozbijamy się tuż obok drewnianego zadaszania. Przypuszczalnie latem jest to miejsce wychnienia dla kierowców ciężarówek. Cisza, bezchmurne niebo i potęgujące się zimno są obietnicą kolejnej, bajkowej zorzy polarnej. Nie myślę się, i od około 2. w nocy do niemalże świtu kolejny raz fotografuję płonące zielonym ogniem niebios. Tym razem zorza jest znacznie bardziej wyrazista, dostrzegam też pewną jej ewolucję. W miarę, jak upływają godziny, w trakcie głębokiej nocy zorza tworzy bardzo silnie świecące, pojedyncze pasma, powoli przesuujące się po nieboskłonie, lecz w godzinach poprzedzających świt pasma rozlewają się pochłaniając całe niebo i poczynają bardzo szybko drgać i falować, tak jakby cały firmament nade mną ogarnęła zielonkawo-fioletowa pożoga. Pomimo wykonania kilkudziesięciu zdjęć długo nie potrafię wejść do namiotu po tę odrobinę snu. Stoję zahipnotyzowany, podziwiając obrazy wykonane ręką malarza o genialnej, ponadludzkiej wyobraźni.

Sobota, 12 marca 2011

Kolejny dzień szybkiego marszu. Pokonujemy puste płaskowyże, głębokie doliny, oceany tajgi, przebywając blisko 30 km, i wraz ze zmrokiem docieramy do brodu na rzece Kożym. Znajdujemy tutaj bardzo przytulną chatkę i z chęcią decydujemy się na nocleg w czymś stabilniejszym niż namiot. Po raz trzeci z rzędu, mimo sporego niewyspania, nastawiam budzik na środek nocy, lecz tym razem okazuje się, że chmury zasłaniają niebo. Wracając do ogrzanego piecem domku nie wiem, czy bardziej smucić się brakiem zorzy, czy cieszyć, że nareszcie mogę zaznać snu.

Niedziela, 13 marca 2011

Pogoda wydaje się coraz mniej stabilna, lecz i tak otoczenie przytłacza, bo pokonujemy kilkadziesiąt kilometrów bezdrzewnego płaskowyżu. Nasze organizmy są już doskonale zintegrowane z otaczającym światem, czujemy się zdrowi, rześcy i pełni energii. Tak jest za każdym razem – ciężki wysiłek fizyczny, zdrowe i w miarę częste jedzenie, surowy i trudny klimat to najlepsze lekarstwo na tzw. wątle zdrowie, choroby cywilizacyjne i inne dolegliwości. A najpiękniejsze jest to, że każda taka ekspedycja uczy cieszyć się z wielu pozornie prostych i oczywistych rzeczy, jak na przykład kubka gorącej, słodkiej herbaty.

Poniedziałek, 14 marca 2011

Poranek zaskakuje nadzwyczaj ciężkimi warunkami śniegowymi. Pulka jakby zdziczała, ciągłymi wywrotkami znacząco opóźnia moje tempo. W końcu, na skraju tajgi, szybkim zrywem doganiam resztę drużyny. Marsz przez las jest szybki i sprawny. Pokonujemy ponad 30 km, gdy ekipa decyduje się na rozbicie namiotu. Ja mam tego dnia spory dylemat, bo zależy mi na tym, by dotrzeć jak najszybciej na dworzec w Incie i wsiąść do pociągu, a poza tym mam też trochę ochotę przejść ostatni fragment jedynym rzutem. Dzięki telefonowi satelitarnemu dowiaduję się od kumpla, że jest pociąg do Moskwy w godzinach porannych – to ostatni bodziec, który sprawia, że decyduję się na samotny marsz. Krótki, ciepły posiłek, serdeczne pożegnanie i już pędzę przed siebie wśród porażającej ciszy ciemnej nocy w tajdze. Kilometry mijają szybko, nogi jakby gnały same, bez udziału woli i ostatecznie na dworzec docieram równo o 3. nad ranem. Jestem zmęczony, ale radość z pokonania całości dystansu, z zakończonego sukcesem marszu i całej wyprawy, spycha znużenie gdzieś na skraj świadomości. Okazuje się jednak, że kolega najpewniej źle coś sprawdził i nie ma pociągu w godzinach porannych, jest za to około północy, czyli za 22 godziny... cóż, myślę, przynajmniej udało się pokonać całe 150 km w sześć dni, z czego 50 km w jeden. Poranek mija na rozmowie o Schizmie Prawosławnej z pewnym Rosjaninem, później posilam się pierwszym od prawie trzech tygodni chlebem, a popołudniu witam resztę ekipy, docierającą na dworzec. Pociąg przyjeżdża punktualnie. Przyklejony do szyby, żegnam surowe piękno tajgi, tęskniąc już za trudami, których przecież nawet jeszcze do końca nie pokonałem.

W zimowej wyprawie na najwyższy szczyt Uralu – Narodnąję, udział wzięli: Jarosław Józwicki „Dziku”, Magdalena Jaročka, Łukasz Białas i autor.

Koniec

Wybrzeże Kości Słoniowej – Pięć stopni od równika

Afryka, legendarny Czarny Ląd, tajemniczy i niezrozumiały, chłopiące marzenie z czasów, kiedy to z wypiekami na twarzy wczytywałem się w mdłym świetle lampy opowieści o Stanleyu i Livingstonie, o dzikich zwierzętach i groźnych krajowcach, o przygodach i niebezpieczeństwach. Fantazja odległa i dziecinna, z tych, o których szybko potem zapominamy, przygnieceni ciężarem codziennego życia i żmudnych obowiązków. A przecież niekoniecznie musimy się takich marzeń wyrzekać, bo przecież nie leżą owe dalekie lądy i pełne dziwów ziemie w krainie niemożliwości. Są tutaj, tuż obok, odległe o zaledwie kilka godzin lotu od nas. Byłem zdumiony, że tak łatwo do nich dotrzeć. Wystarczyło kilka miesięcy wytężonej pracy, by zdobyć niezbędne fundusze, trochę uciążliwych formalności wizowych, i oto stoję, oszołomiony, na afrykańskiej ziemi, gdzieś nad brzegiem Zatoki Gwinejskiej, na dawnym Wybrzeżu Niewolniczym, pięć stopni na północ od równika. Wybrzeże Kości Słoniowej to kraj na wybrzeżu Zatoki Gwinejskiej, była kolonia francuska, od 1960 r. niepodległe państwo. Jego powierzchnia wynosi 322.000 km², liczba ludności – około 11 mln. Stolicą administracyjną jest leżące mniej więcej w centrum kraju Yamossoukro, rzeczywistą – ponad dwumilionowy Abidżan.

Miasto nad laguną

Pierwszym wrażeniem po opuszczeniu wygodnego, klimatyzowanego samolotu jest gorąco. Koszula momentalnie przykleja się do ciała, na czoło wstępują ciężkie krople potu. Zaraz potem duszna, wypełniona hałasem i gorączkową bieganiem hala dworca lotniczego. Wariacka atmosfera, w której zadziwiająco łatwo wyjść z lotniska bez swego bagażu, portfela, biletu powrotnego. Wzrok nie może znaleźć punktu zaczepienia. Prześlizguje się niepewnie po stłoczonych, rozedrganych z emocji twarzach, wszystkich o jednostajnie czarnym, lśniącem kolorze skóry. Abidżański klimat ból głowy serwuje wszystkim z samego rana, na „dzień dobry”. Bez względu na ilość i warunki snu. W tej monstrualnie rozległej aglomeracji, położonej wokół porośniętej wodnym zielskiem laguny, powietrze jest tak ciężkie i zagęszczone, że z trudem można oddychać. W czasie pory deszczowej słońca praktycznie się nie widuje, niebo przez cały czas spowijają gęste kłęby nisko zwieszających się chmur. Temperatura jest stała – trzydzieści kilka stopni Celsjusza. Zawsze. Podobnie jak godziny wschodu i zachodu słońca – wpół do siódmej rano i wpół do siódmej wieczorem. Idealnie 12-godzinny dzień. Cóż, Abidżan położony jest około 5° od równika.

Afrykańskie miasta jedynie nazwą przypominają swe europejskie czy amerykańskie odpowiedniki. Podróżnik, któremu z miastem kojarzą się przestrzenie gęsto zabudowane blokami i wieżowcami, wieczny szum samochodów i autobusów, smród spalin i płynące korytami ulic tłumy, przystanie w Afryce zdziwiony. Typowy krajobraz miejski ujrzy bowiem jedynie w kilku reprezentacyjnych dzielnicach Abidżanu, a poza tym, jak okiem sięgnąć, nigdzie nie znajdzie się budynku wyższego niż dwa piętra. Większość domów, szczególnie w biedniejszych dzielnicach, jest parterowa. Często napotkać można ogromne, dwunastopokojowe wille parterowe, otoczone do tego wielkimi ogrodami. A pomiędzy gęściej zabudowanymi dzielnicami rozciągają się rozległe ugory, pełne bujnie rozwijającej się roślinności i rozpadających się lepianek.

Węże, ciernie i robactwo

Przyroda Czarnego Łądu w porównaniu z naszą, rodzimą, sprawia wrażenie drapieżnej i bezlitosnej. Afrykanie nie znają łagodnego koloru zazieleniającej się wczesną wiosną trawy ani pastelowych barw jesieni. Tutaj na sygnał pierwszego deszczu wszystko wybucha nagle feerią jaskrawych kolorów, groźna, głęboka zieleń liści stanowi tło dla jadowicie czerwonych lub żółtych kwiatów, uspięne w porze suchej łodygi zaczynają nagle piąć się w górę z szybkością kilku centymetrów dziennie, chwytając się rozpaczliwie innych, grubych pnączy, owijając się wzajemnie wokół siebie, oplatając i dusząc konkurencję w walce o światło. Aby odstraszyć i zniechęcić niepożądanych intruzów, monstrualne

rośliny wykształcają na swym ciele całą gamę środków obronnych i pułapek - instrumentów zadawania bólu. Udając się do lasu lub sawanny, narażeni więc jesteśmy na kontakt z szerokim asortymentem kolców, cierni, liści o ostrych, rozcinających skórę krawędziach, parzydełek, najeżonych ostrymi wyrostkami korzeni, oplątujących się wokół nóg lodyg, malutkich trawek wciskających się tajemniczym sposobem do wnętrza wysokich, skórzanych butów i najprzeróżniejszych innych sympatycznych narządów. Również fauna jest groźnym sprzymierzeńcem świata roślinnego w tej bezpardonowej walce przeciw przybyszowi. W każdej kępcie trawy może czaić się wąż, spod każdego, niewinnego liścia może nagle wylecieć olbrzymi, latający potwór z groźnie nastawionym żądłem, na malutkie, żądne krwi moskity, tak lekkie, że nie sposób ich poczuć, gdy siadają na skórze, przestaje się w pewnym momencie zwracać uwagę.

W Afryce raczej nie chodzi się na spacer do buszu, jeśli się nie musi. Ale to nie wystarcza, by unikać przykrych spotkań ze złośliwą przyrodą. Robactwo wciska się wszystkimi szparami do najsolidniejszych nawet domostw, wielkie, pokraczne *marguje* (rodzaj jaszczurek) o tęczowych podgardlach biegają beztrudnie po zewnętrznych i wewnętrznych stronach ścian budynków, na krytych daszkami z liści palmowych tarasach restauracji ogłupiałe chrabąszcze spadają z góry wprost do talerza. Cóż, jedynym sposobem jest zachowanie spokoju. Wyławia się nieszczęśnika z potrawy i je się dalej. „Och, to nie jest niebezpieczne” – uśmiechają się dobrotliwie krajowcy, nie zadając sobie nawet trudu usunięcia spacerującego po stole, skapanego w naszej zupie, sześcionogiego intruza.

Tubabou

Największym problemem przybysza z Europy czy Ameryki jest kolor jego skóry. Rzucająca się w oczy biel, z którą nic się nie da zrobić. Dzięki niej obcokrajowiec od razu rzuca się w oczy, jest widoczny z bardzo daleka i nie sposób go nie zapamiętać. Biel skóry przyciąga wszystkie okoliczne męty, drobnych kombinatorów, żebraków, fałszywych przewodników, napastliwych handlarzy pamiątkami i stada rozwrzeszczanych, wołających na całe gardło: *tubabou! tubabou!* (Biały!, Biały!) dzieciaków. W Afryce człowiek, który nie umiał tego wcześniej, musi się bardzo szybko nauczyć odpowiadać jasno i stanowczo *Nie* na setki składanych mu codziennie propozycji usług, ofert kupna, próśb i niejasnych obietnic. *Tubabou* są w oczach Afrykanów bardzo mądrzy i głupi jednocześnie. Mądrzy, bo potrafią (nie niektórzy, WSZYSCY!) skonstruować radio, samolot, włożyć film do skomplikowanego aparatu fotograficznego, budować wieżowce, bo są bogaci. Głupi, bo dają się nabierać, naciągać i okradać jak dzieci, bo kupują nie targując się, bo często nie wiedzą nawet dobrze, jak się nazywa państwo, w którym przebywają, bo biegają jak szaleni, zatrzymując się tylko po to, by zrobić kilka zdjęć. Podejście krajowców do białych cechuje prawie zawsze ta osobliwa mieszanina autentycznego szacunku i źle skrywanej kpiny. I wcale niełatwo jest przekroczyć tę stawianą przez nich, a może też trochę i przez nas, barierę. Warto się jednak starać, bo to, co za nią napotkamy, może być naprawdę fascynujące.

Cdn.

Krzysztof Tęcza

Ojwin i jego atrakcje

Zapraszam na wycieczkę w Góry Żytawskie – fragment Gór Łużyckich, do leżącej na Łużycach Górnych miejscowości Ojwin, zniemczonej na Oybin, niedaleko Zittau (Żytawy). Wznosi się nad nią piaskowcowe stoliwo Ojwin (niem. Oybinfelsen) z atrakcyjnym labiryntem skalnym. Po nabyciu biletu ZVON za 25 zł oraz dokonanej w pociągu opłacie historycznej w wysokości 5 euro będziemy mieli zapewnione całodzienne podróżowanie we wszystkich kierunkach. Po przesiadce w Görlitz i dojechaniu do Żytawy ruszamy do miejscowości Teufelsmühle (Diabelski Młyn). Dotrzemy tam starą ciuchią, w której ze względu na niewielką szybkość jazdy można przebywać na platformach kończących wagony. Wiele osób spędza na nich całą podróż fotografując mijane krajobrazy. Kolejka Dzwoneczkowa (Bimmelbahn), która kursuje na tej trasie, powstała w 1890 r. Jej nazwa związana jest z



Kolej Dzwonkowa

umieszczonym na lokomotywie dzwonem, przy pomocy którego sygnalizuje się zbliżanie pociągu. Ostrzeżenie takie, co prawda, jest nieco mniej wyraziste niż gwizd parowozu, jednak przyjęło się na tyle, że wszyscy wiedzą, co oznacza. A do tego jest miłe dla ucha. W zależności od pogody podstawiane są wagony kryte lub widokowe, z tym, że wśród wagonów odkrytych znajduje się jeden, którym jedzie umilająca pasażerom podróż orkiestra. Jednak zawsze pojawia się osoba z obsługi proponując kawę, piwo, szampana itp. Największe jednak wrażenie robi postój na stacji Bertsdorf, gdzie rozgałęziają się tory i można być

świadkami jednoczesnego odjazdu dwóch składów, z których jeden jedzie w prawo, a drugi w lewo. Maszyniści ruszając powodują wyrzut takich ilości dymu i pary, że momentami nie widać lokomotywy. Po dotarciu do Teufelsmühle ujrzymy pięknie wyeksponowany krzyż pokutny, z którym wiąże się kilka legend. Najczęściej opowiadana dotyczy morderstwa pustelnika. Może dlatego dawniej krzyż ten znajdował się w innym miejscu, w pobliżu pustelni. Podczas budowy drogi został przeniesiony. Posiada on wyrytą na ramieniu datę 1670, jednak właśnie ze względu na wspomniane legendy data ta nie jest jednoznaczna, jeśli chodzi o czas wystawienia tego obiektu.



Krzyż pokutny

Od krzyża należy podążać leśną ścieżką pod górę za zn. żółtymi. Zaraz też dotrzemy do punktu widokowego, z którego można dojrzeć ruiny zamku Oybin. Niestety, po początkowym okresie szybkiego rozwoju budowla ta uległa zniszczeniu wskutek obierwania się skały.

Podobnie stało się z klasztorem z 1365 r., dodatkowo zgorzałym od uderzenia pioruna w r. 1577. Patrząc w drugą stronę zobaczymy przedziwną skałę przypominającą swoim kształtem jakiegoś kuraka z rozpostartymi skrzydłami. Po dojściu do schroniska na górze Töpfer (582 m) zaskoczą nas zarówno skały o fantastycznych kształtach, jak i rozległe widoki. W oddali zobaczymy



Fantazyjna skała na punkcie widokowym

nawet Elektrownię Turów. Będąc w tym miejscu koniecznie trzeba wdrapać się po pięćdziesięciu schodkach na platformę widokową zamontowaną na dwóch skałach. Warto też podejść do ustawionego drewnianego krzyża z napisami w kilku językach, w tym po polsku. W schronisku można skorzystać z toalety, ogrzać się, coś przekąsić, a także skosztować jednego z wielu gatunków smacznych piw. Trzeba jednak wiedzieć, że obiekt ten czynny jest w godzinach 10-18. Aby ułatwić dotarcie tutaj osobom o gorszej kondycji lub ceniącym sobie wygodę, uruchomiono sprytną kolejkę.



Schronisko na wierzcholinie Ojwina

Idąc dalej malowniczą ścieżką pomiędzy fantazyjnie ukształtowanymi skałkami dotrzemy na Ostry Kamień (Scharfenstein), nazywany również Górnołużyckim Matterhornem. Można tutaj odpocząć w przygotowanej wiacie, a po nabraniu sił podejść po 115 schodach na sam szczyt. Należy jednak pamiętać, iż zwłaszcza w niepogodę, jest to dosyć niebezpieczne. Trudność wejścia doceniono tu w bardzo unikatowy sposób. Otóż na szczytach zostawiane są książki, do których wpisują się ich zdobywcy. Tutaj w drodze wyjątku umieszczono taką książkę dla wszystkich, którzy wejdą po bardzo stromych drabinach. Korzystając z takiej okazji warto dokonać stosownego wpisu. Po zejściu ze skałek należy podążyć szlakiem niebieskim do Oybin. Znajduje się tam górski ewangelicki kościół (Bergkirche), powstały w 1734 r. z rozbudowanej istniejącej już kaplicy. Przy budowie obiektu wykorzystano układ skał, co spowodowało, iż wydaje nam się, jakbyśmy byli w amfiteatrze. To, na co powinniśmy zwrócić uwagę, umieszczono na dolnej emporze. Przedstawiono tam główną modlitwę chrześcijan *Ojczy Nasz*. Ważnym elementem wystroju kościoła jest kazalnica umieszczona ponad ołtarzem, co podkreślało rangę głoszonego kazania. Przed ołtarzem widzimy chrzcielnicę z gołębiami siedzącymi na kuli ziemskiej, symbolizującym powrót Ducha Świętego na Ziemię za każdym razem, gdy chrzczony jest człowiek.



Kościół górski w Oybin

Pozostałe widoczne tu ozdoby, zarówno na sklepieniu, jak i na górnej emporze, zostały tak dobrane, by docierały do wiernych jako swoisty przekaz. Najlepiej przybyć tutaj w okresie od Zielonych Świąt do końca sierpnia, by wysłuchać odbywających się w każdą sobotę koncertów „Muzyka wieczorna przy blasku świec”. Można wtedy połączyć przyjemne z pożytecznym, czyli słuchać muzyki i rozmyślać o tym, co zawarte jest w ozdobach umieszczonych w kościele.

Przy dworcu kolejowym znajduje się małe Muzeum Kolejnictwa. Warto zajrzeć do środka, by zobaczyć, co takiego ciekawego tam zgromadzono. Widać, że zarządzający tym muzeum chcą, by jak najwięcej turystów tu docierało, gdyż cenę biletu ustalono na poziomie 1 euro. Gdyby tak myślano u nas! Zobaczymy tu wiele ciekawych elementów taboru kolejowego, jak i wyposażenia kolejarzy. Poznamy stare rozkłady jazdy i bilety, te prawdziwe tekturowe. Po wyjściu z muzeum przechodzimy kładką przez tory na dworzec, skąd kolejką wąskotorową pojedziemy do Żytawy. Tam przesiądziemy się na pociąg do Görlitz i tam albo pojedziemy kolejnym pociągiem do Polski, albo przejdziemy pieszo do Zgorzelca. Proponowana wycieczka nie jest ani długa ani zbyt wymagająca, ale zupełnie wystarczająca, jeśli chodzi o atrakcje, jak na jeden dzień.

Henryk Sławiński

47. Dolnośląski Zlot Przewodników Turystyki Pieszej

Spotkanie o tej nazwie odbyło się 22-23 października br. w Lubaniu. W Zlocie uczestniczyło 57 przewodników turystyki pieszej z Dolnego Śląska oraz województw lubuskiego, wielkopolskiego, śląskiego, opolskiego i warmińsko-mazurskiego. W sobotę zlot otworzył burmistrz miasta Arkadiusz Sławiński, po czym autokarem zwiedzano najważniejsze zabytki Nawojowa Łużyckiego, Nowogrodzka,



Łużycki Wawel – pałac w Nawojowie Łużyckim



Przed uratowaną karczmą z Wiganciu (dziś w Zgorzelcu)

Bolesławca i Bolesławic, Kliczkowa, Zgorzelca i Henrykowa Lubuskiego. W niedzielę przewodnicy wybrali się na pieszą wycieczkę po najważniejszych zabytkach starego miasta. Odwiedzili Ośrodek Szkoleń Specjalistycznych Straży Granicznej. Z Baszty Brackiej podziwiali panoramę miasta. Uczestniczyli w paradzie Historycznej Straży Miejskiej, a na Kamiennej Górze zapoznali się z budową geologiczną okolic oraz poznali tajemnice sztolni. Ostatnim punktem programu była wizyta w klasztorze św. Magdaleny od Pokuty. W sobotni wieczór w restauracji „Tęczowa” odbyły się obrady plenarne, podsumowujące imprezy turystyki pieszej za rok 2011. Organizatorem Zlotu był Oddział PTTK „Pogórze Izerskie” przy współpracy z Oddziałem Łużyckim PTSM w Lubaniu. Komandorem zlotu został autor, a honorowym komandorem – Henryk Antkowiak z Jawora, zaś wycieczki zlotowe prowadziły przewodniczki sudeckie Kinga Gordon-Sieradzka i Elżbieta Stępnik.

Fot. Krzysztof Tęcza

50. Ogólnopolski Zlot PTG PTTK

W dniach 14-16 października br. odbył się 50. Ogólnopolski Zlot Przewodników Turystyki Górskiej PTTK na obszar Sudetów. Ten piękny jubileusz obchodziliśmy w Szklarskiej Porębie, w OW „Rzemieślnik”, który zbudowano prawie sto lat temu. Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze był gospodarzem Zlotu już po raz trzeci, nie miał zatem specjalnych problemów z jego organizacją. Patronat Honorowy nad Zlotem objął burmistrz Szklarskiej Poręby Grzegorz Sokoliński. We współorganizację zaangażowały się Delegatura Sudecka KTG ZG PTTK, Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK i Karkonoski Park Narodowy, którego dyrektor Andrzej Raj już nieraz udowodnił, że potrafi włączyć się ze swoimi pracownikami z pomocą przy przeprowadzaniu takich imprez. Osób i instytucji wspierających Zlot było o wiele więcej. Chcemy tu podziękować za wsparcie wszystkim, którzy takowego użyczyli.

Uczestnicy zaczęli przybywać z samego rana w piątek 14 października. Dla wypełnienia im czasu autor poprowadził chętnych na trasę 0, nazwaną „Szybką trasą na przywitanie”. Wyruszyło na nią ponad czterdzieści osób. Po dotarciu na Wysoki Kamień mogliśmy obejrzeć wybudowane tu nowe schronisko oraz skosztować wspaniałej szarlotki własnego wypieku. Widoki z tego miejsca były tak rozległe, że dostrzegliśmy wieżę na Jesztedzie. Po dyskusji doszliśmy nawet do wniosku, że majacząca na horyzoncie charakterystyczna góra to Landskrone w Görlitz. W drodze powrotnej dotarliśmy do Wielkiego Zakrętu, nazywanego też Zakrętem Śmierci. Cała wędrówka zajęła trzy godzinki i wprowadziła wszystkich w dobry nastrój. Wieczorem rozpoczęła się część oficjalna. Poprowadził ją autor jako wicekomandor Zlotu. Prezes Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” Adam Rodziewicz zaprezentował go, opowiadając o jego historii, o problemach, sukcesach, pracy na rzecz turystyki, jak i o tym, że od wielu lat działacze Oddziału szkolą nowe kadry, zarówno społeczne, jak i zawodowe. To właśnie Oddział organizuje kursy przewodników sudeckich i kursy na pilotów wycieczek czy we współpracy z PTSM kursy dla przewodników turystyki górskiej. Oczywiście pochwalił się najcenniejszym obiektem, jakim jest zamek Chojnik. Uświadomił wszystkich, że posiadanie takiego waloru to tylko w nieznanym stopniu powód do dumy. Przede wszystkim jest to ciągła walka o środki na utrzymanie zamku w dobrej kondycji, bowiem fundusze, jakie trzeba na to pozyskiwać, są ogromne. Warto jednak podejmować takie wysiłki, gdyż turyści tu przybywający nie mogą wyjść z podziwu oglądając starą warownię, będącą wizytówką Jeleniej Góry. W imieniu KTG ZG PTTK przywitał wszystkich jej przewodniczący Jerzy Gajewski. Poprosił on na początku, by uczcić minutą ciszy wszystkich przewodników, którzy odeszli w poprzednim roku. Niestety, ubyło ich w ostatnim okresie wielu. Głos zabrali też zaproszeni goście. Burmistrz Grzegorz Sokoliński, podkreślił, iż od dawna jest przychylny działaniom PTTK, nie ukrywał więc swojego zadowolenia z tego, że na miejsce Zlotu wybraliśmy właśnie to piękne miasto. Prezes PTTK Lech Drożdżyński odniósł się do sprawy zmian w statucie Towarzystwa, jakie są konieczne dla usprawnienia jego funkcjonowania. Omówił także inne istotne dla członków PTTK kwestie. Uczestnicy Zlotu z ciekawością wysłuchali słów dyrektora Andrzeja Raja. Głos zabrali jeszcze Jerzy Kapłon, dyrektor Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej PTTK oraz prezes Spółki „Sudeckie Hotele i Schroniska PTTK” w Jeleniej Górze Grzegorz Błaszczak.

Spotkania takie jak to, mają na celu także prezentowanie walorów krajoznawczych, a więc przygotowano wystąpienia ukazujące ciekawe tematy dotyczące terenów Zlotu. Jako pierwszy wystąpił Roman Rapała, pracownik KPN. Wprawił on obecnych w prawdziwy zachwyt swoim pokazem zdjęć, ukazujących przyrodę Parku w różnych porach roku. Dodany do nich podkład muzyczny razem z obrazami nie może nie poruszyć wrażliwego człowieka. Wszyscy podziwiamy piękno gór, piękno przyrody i wszyscy jesteśmy nim oczarowani. Przemysław Wiaterek z muzeum Dom Hauptmanna uraczył m.in. opowieścią o walońskich poszukiwaczach minerałów, uważanych przez laików wyłącznie za poszukiwaczy skarbów. Nie ma co się dziwić takim postawom, gdyż w tamtych czasach każdy znaleziony minerał był prawdziwym skarbem. Jacek Potocki porównał, jak zmieniała się w ciągu lat ludność niektórych miejscowości turystycznych tutejszego regionu (po obu stronach granicy) do zmian bazy turystycznej w tych samych miejscowościach. Przedstawiciel Fundacji „Dolina Pałaców i Ogrodów



Sala obrad. W pierwszym rzędzie od prawej siedzą: Andrzej Raj, Grzegorz Sokoliński, Jacek Potocki i Lech Drożdżyński. Stoi Roman Rapała

Kotliny Jeleniogórskiej” Krzysztof Korzeń zapoznał z obiektami promowanymi przez nią oraz uświadomił, jak wielka ilość walorów krajoznawczych znajduje się na tak niedużym terenie. Jest to ewenement na skalę kraju. Po tak bogatym programie krajoznawczym Jerzy Gajewski poprowadził obrady plenarne, podczas których podjęto dyskusję na tematy nurtujące środowisko przodownickie. Przedstawiono pokrótce działalność KTG ZG PTTK. Omówiono stronę internetową Komisji. Dyskutowano o Górskiej Odznace Turystycznej. Komisja poinformowała wszystkich, iż podjęto decyzje o ujednoczeniu wzorów używanych formularzy. Ustalono, że będą trzy rodzaje wyróżnień dla przodowników: Tytuł Honorowego Przodownika TG, Medal Komisji i Dyplom Komisji. Przewodniczący poinformował o mającym się odbyć 3 grudnia sympozjum górkim w Krakowie, które będzie poświęcone, w ramach Roku Sudeckiego, właśnie tematyce sudeckiej.

Nazajutrz podzieleni na trzy grupy wszyscy wyruszyli na zaplanowane trasy z przydzielonymi przewodnikami (pracownicy KPN) i wyposażeni w szczegółowe opisy tras. Uczestnicy Złotu dotarli do domu Vlastimila Hoffmana, wodospadu Szklarki, obejrzeli Chojnik, zwiedzili muzeum Carla i Gerharta Hauptmannów, a także, dzięki życzliwości Kolei Linowych, wjechali wyciągiem na Szrenicę. Trzeba podkreślić, że mimo kilkunastokilometrowych tras wybitnie górskich wszyscy wrócili pełni wrażeń i z zapasem energii na wieczorną część imprezy. Wznowiona dyskusja szybko zaczęła się więc rozkręcać. Najpierw Tomek Łuszczyński zaprezentował wspaniałe zdjęcia, jakie wykonał podczas przelotu samolotem nad Karkonoszami. Większość po raz pierwszy widziała niektóre szczyty czy żłebki z takiej perspektywy. Tomek jest także twórcą Likieru Karkonoskiego, dlatego mogliśmy poznać jego smak. Kolejną prezentację przedstawił autor, pokazując najnowsze zdjęcia wszystkich chatki turystycznych w Karkonoszach. Wygląda na to, że temat ten wzbudził szczere zainteresowanie.

W dyskusji poruszano bardzo ważne dla turystyki kwestie. Radzono, co zrobić, by znakowanie szlaków było opłacane na takim poziomie, aby ktoś chciał jeszcze pracować. Jeśli chodzi o sprawy przodownickie, ważną sprawą jest poprawienie komunikacji pomiędzy KTG w Krakowie, a jej delegaturami i komisjami w oddziałach. Ustalono, że w przyszłym roku ponownie odbędą się oba zloty, zarówno beskidzki, prawdopodobnie w Rzeszowie, jak i sudecki, który zorganizują działacze z Żar. Wyrażono troskę o rozwój i utrzymanie naszej bazy noclegowej. W trakcie spotkania przeprowadzono egzaminy na przodowników TG oraz na rozszerzenia posiadanych już uprawnień. O tym, ilu działaczy zdało je pozytywnie, dowiemy się niebawem. Na zakończenie wszyscy mogli jeszcze pooglądać kolekcje znaczków rajdowych i odznak, jakie przywieźli ze sobą działacze posiadający ciekawe zbiory. Bardzo interesującą wystawę, prezentującą przedwojenne oddziały towarzystw turystycznych, przygotował wybitny kolekcjoner ze Świeradowa-Zdroju Edmund Rakowski.

ODWIEDZINY W BAZIE

Dawno, dawno temu i wcale nie w odległej galaktyce, a w Gorcach, biwakowałem w bazie namiotowej na Gorcu. W tym roku udało mi się znowu skorzystać z tego obiektu, a także z bazy na Lubaniu. Nocowanie w namiocie było dużą motywacją do wędrówki dla moich młodych towarzyszy (10 i 7 lat), z którymi w ciągu tygodnia przemierzaliśmy „wyspowe” i gorczańskie szlaki między Rabką, Strzeblem (Szczebłem), Ochotnicą, a Krościenkiem.

W Gorcach bywam dość często, ale ostatnio przeważnie niemal wszystkie wycieczki letnie i zimowe podejmowałem ze schroniska na Turbaczu. Podczas tej wyprawy, po wypadzie na północ – na Luboń Wielki, Strzebel i do Zimnej Dziury, przenieśliśmy się na Maciejową, po czym wędrowaliśmy głównym szlakiem na Stare Wierchy i Turbacz.



Jednak głównymi punktami programu miały być noclegi w namiocie. Poszliśmy przez Jaworzynę koło Bulandowej Kapliczki i dalej do grzbietowych widokowych hal, wreszcie stromym podejściem na wierzchołek Gorca. Stąd już przysłowiowy rzut beretem do bazy namiotowej. Chłopcy już nie mogli doczekać się zobaczenia bazy i nawet chcieli zrezygnować z wejścia na wierzchołek Gorca ujrzawszy tabliczkę znacznie wcześniej kierującą ze szlaku do bazy. Wreszcie przez halę schodzimy na południe i po kilku minutach ukazuje się baza namiotowa. Do końca sierpnia jeszcze trzy dni. Ruch w bazie niesamowity. Spostrzegamy dwóch (słownie: dwóch) turystów i bazowego. W krótkiej miłej rozmowie wynajmujemy „apartament”, czyli wygodny namiot typu SKAUT. Lokujemy graty w namiocie, po czym załatwiamy formalności. Oglądamy bazę i jej wyposażenie. W odległości około 50 m od części mieszkalnej znajduje się latryna, przed którą kołowrotek z dwoma napisami: „zajęte” i „wolne”. Idąc na „posiedzenie” użytkownik przechodzi przez kołowrotek odwracając odpowiednią część z odpowiednim napisem. To sygnał dla innych o aktualnym stanie przybytku. Na wschód od bazy



w odległości około 80 m znajduje się ujęcie wody pitnej, a kawałek dalej umywalnia. Idąc jeszcze 15 m w bok do lasu znajdujemy kabinę prysznicową. Rzecz jasna, użytkownik musi sobie sam nabrać wodę do konewki służącej za prysznic. Na terenie mieszkalnym bazy stoi kilkanaście namiotów posadowionych na drewnianych podestach, namiot magazynowy i „dyrekcji”, czyli mieszkanie i



biuro bazowego. Jest też namiot kuchenne-jadalny. Do dyspozycji użytkowników jest krąg ogniskowy oraz dwa stoły z ławami w pobliżu ogniska. Wędrujący w własnym sprzęcie mogą rozstawić namiot na polu namiotowym. Słowem, warunki czterogwiazd-

kowe, co najmniej. W nocy, na maszcie z flagą palą się diodowe lampki, zapewne widoczne z daleka, co umożliwi zlokalizowanie bazy w ciemnościach. Turyści śpią na gąbkowych materacach w swoich śpiworach lub w bazowych. Można otrzymać dowolną ilość koców. Przemięły bazowy służy radą, pomocą, wrzątkiem, kawą lub herbatą, a także pieczątką do GOT. Widok z bazy na masyw Lubania. Gospodarzem bazy jest krakowski SKPG.

Podobnie jest w bazie na Lubaniu. Oprócz namiotów mieszkalnych stoi tam drewniana wiata kuchenne-gospodarcza i namiot magazynowy. Do wody jest spory kawałek, ale za to z widokiem na Tatry. Zresztą z wierzchołka Lubania znajdującego się 100 m obok bazy mamy wspaniałą panoramę od Beskidu Sądeckiego po Tatry Zachodnie. Urządzenia sanitarne w lesie około 120 m od bazy. Tam też funkcjonuje kołowrotek. Bazowy chętnie przyrządzi naleśniki, będące od wielu lat niemal symbolem bazy. Baza na Lubaniu może służyć turyście przez okrągły rok, choć funkcjonuje w lipcu i sierpniu, a to dzięki wiacie mogącej posłużyć za schronienie. W sezonie turyści mają do dyspozycji wygodne namioty, materace i koce. Obok części zagospodarowanej znajduje się pole namiotowe. W obu bazach uwzględniane są rabaty PTTK, co w rezultacie daje cenę noclegu na poziomie około 6 zł.

Polecam obie bazy wędrującym przez Gorce. Wraz ze schroniskiem na Skałce i Gorczańską Chatą mamy latem cztery obiekty w południowo-wschodniej części Gorców.

Juliusz Wystouch

XII SPOTKANIE ŚLADOWE *Na Szlaku*

Na początku marca 2012 r. odbędzie się w schronisku PTTK na Przegibku w Beskidzie Żywieckim kolejne, **XII Spotkanie Śladowe Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku”**. Nazwa długa, ale i tradycja Spotkań też długa. To już dwunasty raz spotkamy się w gronie znajomych łączących narciarstwo z turystyką. Jak zwykle, współorganizatorem jest Klub „Ostańce” z Zawiercia i niezawodny Andrzej Stróżecki. Termin został ustalony przez KTN tak, aby jak najmniej kolidował z innymi podobnymi imprezami, rajdami lub biegami narciarskimi.

A zatem szczegóły: termin to 1-4 marca, miejsce – schronisko PTTK na przeł. Przegibek. Potrzebne namiary i kontakty: Andrzej Stróżecki a-str@o2.pl, pttk.zawiercie@neostrada.pl, tel. +48 32-671-31-77, schronisko na Przegibku +48 33-864-41-39, +48 504-148-357, +48 504-148-358. W schronisku już wiedzą o naszych zamiarach, dzwońcie więc i rezerwujcie miejsca. Najkrótsze dojście to szlak zielony z Rycerki Górnej Kolonii od przystanku PKS w ciągu 1,5 godz., a na nartach pewnie trochę szybciej. Szlak jest zimą utrzymywany i przecierany ratrakiem bądź skuterem śnieżnym. Położenie schroniska na wysokości około 990 m niemal gwarantuje dobry śnieg. Okoliczne szlaki i drogi pozwalają na całodzienne wypady w góry. Możemy wybrać się na Wielką Raczę (daleko!), na Mładą Horę, Rycerzową, Jaworzynkę. Sieć szlaków, zwłaszcza na wschód od Przegibka, umożliwia zestawienie kilku tras pół i całodniowych.

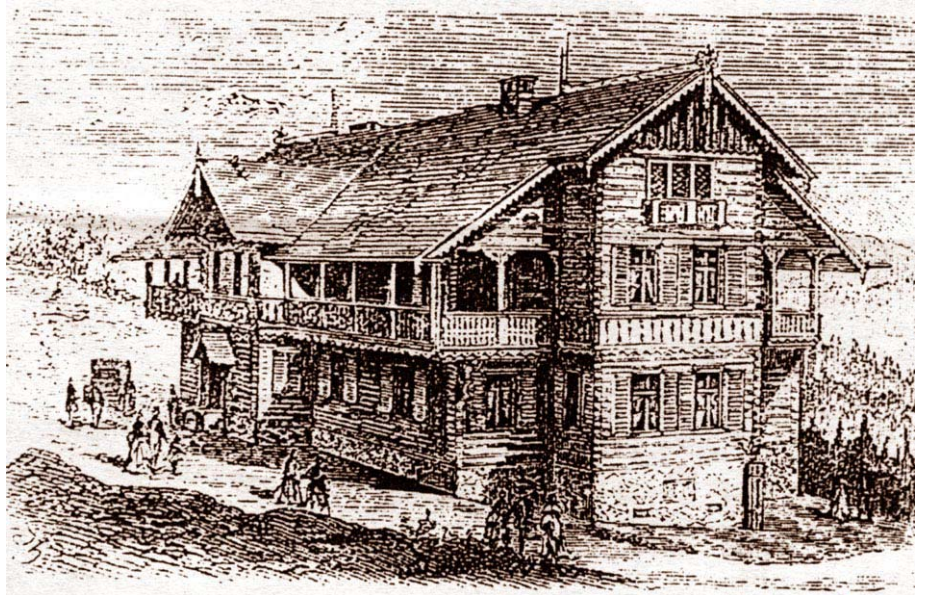
Zapraszamy!

Urodziny pod Śnieżnikiem

I to nie byle jakie! Sto czterdzieste!!! Obchodziło je schronisko PTTK „Na Śnieżniku” im. Zbigniewa Fastnachta. To jeden z najstarszych obiektów tego typu w Sudetach, a i w całych polskich górach. Przypomnijmy pokrótce dzieje tego miejsca.

Śnieżnik to nie tylko najwyższa góra Ziemi Kłodzkiej, ale i całych Sudetów Środkowych i Wschodnich po śląskiej (polskiej) stronie. Mimo to nie zyskał takiej popularności, jak wznosząca się po drugiej stronie sudeckiego pasma Śnieżka, która znakomicie i jednoznacznie wyróżnia się w krajobrazie. Dopiero z poł. XVIII w. pochodzą pierwsze wzmianki o pobycie na „braterskim” niejako szczycie. W tym też czasie musiała tu już istnieć polana na wcześniejszej porębie (dwa stulecia wcześniej Śnieżnik był tak pozbawiony drzewostanu, że zainicjowano na nim pierwsze planowe zalesienia) – po 1945 r. błędnie nazwana halą. Dowodzą tego wzmianki o prowadzeniu na niej gospodarstwa hodowlanego w postaci „letniego” domu ze stajnią, potem nazwanym Starą Krowiarnią. Starą, bowiem na jej

miejscu właściciel tych terenów – hr. Magnis, wystawił w 1806 r. domki (sudeckie budy) dla pasterzy, w trzy lata później na środku Hali pod Śnieżnikiem, wedle współczesnego nazewnictwa, Nową Krowiarnię dla sprowadzonego ze Szwajcarii „bacy” Michała Aegertera. Ruch turystyczny musiał na tyle być wtedy istotny, że przewidziano w niej pokój z dwoma łózkami dla wędrowców. Gości zaczęło szybciej przybywać, odkąd królowa Marianna Orańska – spadkobierczyni rozległych dóbr wokół Kamieńca Żąbkowickiego, zakupiła w 1838 r. rycerskie dobra Strachocin (dziś część Strona Śląskiego) i Różanka (związane tytularnie z ruinami zamku Śnielinek, też błędnie nazywanego Szczerbą). Te drugie objęły zagubioną w górach osadę Międzygórze, która została przez nią szybko rozwinięta w atrakcyjną miejscowość wypoczynkową. Dla podziwiania uroków okolicy w 1840 r. Marianna zaprosiła swojego ojca Willema I, który właśnie abdykował z niderlandzkiego tronu, i wybrała się z nim na Śnieżnik. Wreszcie w 1869 r. zdecydowała się dokupić od Magnisów tereny ze szczytem i doceniając turystykę postanowiła w 1871 r. wybudować w miejscu Nowej Krowiarni specjalny obiekt dla tury-



Wizerunek schroniska z końca XIX w.



...i widok współczesny



stów, trzon obecnego schroniska, modnie nazywając go „Schweizerhaus”, czyli „Szwajcarką”. W późniejszych latach zmieniło ono swoją sylwetę, przede wszystkim przez obudowanie werand, co zapewniło lepszą izolację cieplną budynku. O historii będzie szczegółowiej we właśnie szykowanej do publikacji „Historii turystyki sudeckiej” autora. Tu można jeszcze dodać, że wiele lat gazdował na schronisku Zbigniew „Biba” Fastnacht, absolwent geografii, przewodnik sudecki, który jednakże wybrał to oddalone od cywilizacji, ale jakże urokliwe miejsce. Własnym sumptem i staraniem w 2000 r. wybudował hydroelektrownię o mocy 4 kW, zaprojektowaną i wykonaną pod kierunkiem inż. Jerzego Gerca z Wrocławia, wykorzystując francuskie urządzenia. Od tego czasu nie ma problemu z zaopatrzeniem schroniska w energię i to odnawialną. Obiekt po nim przejął jego syn Jacek, wokół którego

utworzyło się duże grono przyjaciół i sympatyków.

Właśnie ci stanowili zasadniczą część gości, jacy pojawili się pod Śnieżnikiem w sobotę 22. października br. Przez cały zresztą dzień pełno było innych turystów – wszyscy mogli otrzymać za darmo kiełbaski z rusztu i piwo. Było ich mocno ponad 300. Popołudniu zaczęła się właściwa uroczystość urodzinowa – gospodarz otrzymał wiele podarunków, w tym piękne i smakowite torty – także od czeskich przyjaciół. Zespół muzyczny uświetniał występem, a zgromadzeni – mimo iż się starali, swoimi okazjonalnymi przyspiewkami nie stanowili dlań konkurencji. Wiwatom i toastom nie było końca, szczególnie z grona czerwonych swetrów, czyli przewodników sudeckich z Międzygórze, Strona Śląskiego i Wrocławia (ci ostatni reprezentowali kluby „Rzepiór” i Oddział PTTK „Fabryczna”). Impreza trwała do białego rana, a i następnego dnia ta przesympatyczna atmosfera ciągle się utrzymywała. Dodać trzeba, niech żałują ci, którzy się tu nie stawili, że pogoda na Śnieżniku była wręcz przecudna. I ja tam byłem... itd., itd.



Zdjęcia z urodzin ze strony www.schroniskonasniezniku.pl.

Redakcja

Nowa praca o naszym magazynie

Milo nam poinformować, że wykonano czwartą już pracę dyplomową na wyższej uczelni o „Na Szlaku” – tym razem w Wyższej Szkole Zarządzania „Edukacja” we Wrocławiu. Informuje o tym reprodukcja strony tytułowej. Zapoznać się z nią można także w Regionalnej Pracowni Krajoznawczej PTTK we Wrocławiu (Oddział Wrocławski PTTK), Rynek-Ratusz 11/12, IV p.

Dla orientacji poniżej podajemy jej spis treści:

Wstęp

Rozdział 1

Podstawowe zagadnienia związane z turystyką zagraniczną

Pojęcie turystyki

Rodzaje turystyki

Turystyka zagraniczna

Rozdział 2

Krótką historią czasopisma turystycznego i jego cechy gatunkowe

Rozdział 3

Geneza i rys historyczny pisma „Na Szlaku”

3.1. Okoliczności powstania magazynu

3.2. Redaktorzy i współpracownicy

3.3. Zawartość treściowa magazynu

3.4. Biuletyn kolekcjonerski „Na Szlaku”

3.5. Nakład i czytelnictwo

3.6. Szata graficzna pisma

3.7. Opinie czytelników

Rozdział 4

„NA SZLAKU” – przewodnikiem turystycznym po znanych miejscach w Polsce w latach 2006-2011

4.1. Zarys artykułów na tle magazynu „NA SZLAKU” - Rok XX Nr e-12(197) Grudzień 2006

4.2. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2007 roku

4.3. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2008 roku

4.4. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2009 roku

4.5. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2010 roku

4.6. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2011 roku

Rozdział 5

Turystyka zagraniczna w świetle artykułów magazynu „NA SZLAKU” W LATACH 2006-2011

5.1. NA SZLAKU Rok XX Nr e-12(197) Grudzień 2006

5.2. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2007 roku

5.3. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2008 roku

5.4. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2009 roku

5.5. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2010 roku

5.6. NA SZLAKU. Turystyka-Krajoznawstwo-Góry – archiwalne wydania magazynu z 2011 roku

5.7. Wnioski końcowe

Zakończenie

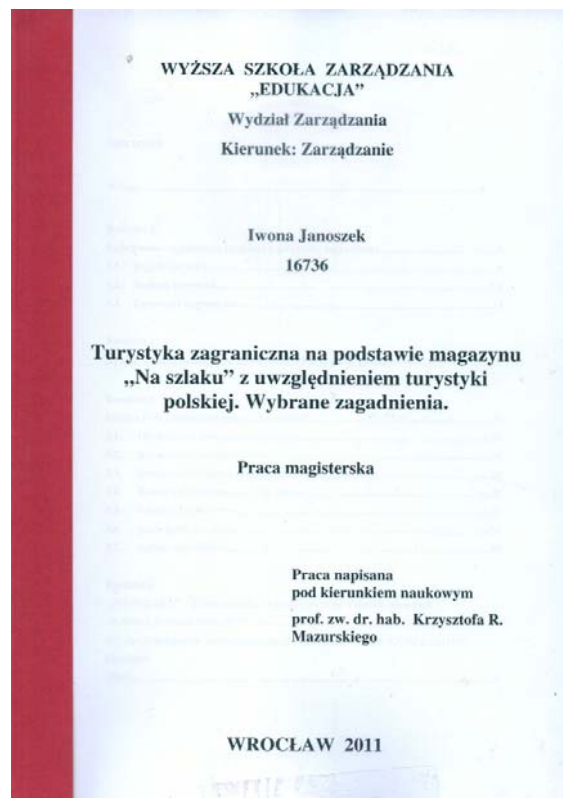
Bibliografia

Strony internetowe

Czasopismo „NA SZLAKU” wykorzystane w pracy

Spis ilustracji

Bibliografia – Walory i atrakcje turystyczne innych krajów w „NA SZLAKU”



Juliusz Wysłouch

Zima przed nami

Zima idzie, nie ma na to rady. Choć i we wrześniu, i w październiku sypnęło śniegiem, to prawdziwa zima powinna była przyjść gdzieś pod koniec listopada. Być może, gdy czytamy ten odcinek, drogowcy „walczą” ze śniegiem, a narciarze smarują narty. Co ma robić turysta górski? Szykować się na zimowy wypad w góry. Sięga zatem najpierw po plecak, który po ostatnim letnim lub jesiennym użyciu pewno wylądował na pawlaczu lub w piwnicy. Może nawet nie został dobrze przewietrzony. Biada mu, jeśli był wilgotny, a leży gdzie w kącie. Zatem wyciągamy plecak i sprawdzamy, czy wszystko jest w porządku. Czy nie puścił jakiś szew, czy zamki „chodzą” jak należy, czy nie ukruszyła się jakaś klamra. To ważne. Zimowe wyposażenie zwykle waży więcej niż letnie czy jesienne i byłoby głupio, gdyby podczas zakładania plecaka strzeliła jakaś klamra czy „poleciał” szew. Niestety, jest to możliwe, zwłaszcza gdy plecak ma już parę lat i był intensywnie używany. Doświadczyłem czegoś takiego onegdaj w Rabce, gdy w pośpiechu zakładałem plecak ruszając do podjeżdżającego busa. Szarpnąłem i... trach. Plecak zamiast na ramionach wylądował na chodniku. Nie wytrzymała jakaś sprzączka czy klamerka. Cóż. Tworzywo się starzeje, niska temperatura też niekorzystnie wpływa na jego wytrzymałość, a dość gwałtowne szarpnięcie może okazać się zgubne dla jakiegoś drobnego elementu. Jak sobie poradzić w warunkach polowych? Zawsze mam ze sobą, i to dosłownie pod ręką, bo w tzw. nerce, mocne nici i grubą igłę zdolną przebić grubą tkaninę plecaka, a także zapasowe klamerki i przepłotki. Po prowizorycznym umocowaniu uszkodzonej części pozwalającym na użycie plecaka, już na spokojnie, w schronisku trzeba dokonać niezbędnej naprawy.

No to plecak mamy już sprawdzony i przygotowany. Teraz buty. Jak już kiedyś wspominałem, dobrze jest mieć jedną parę na umowny sezon letni, a drugą na zimę. Buty zimowe powinny być o numer większe, by można było założyć dodatkowe skarpety, a nawet wkładkę izolującą od mrozu. Oglądamy więc buty, sprawdzając umocowanie haczyków i stan sznurowadeł. Nie muszą chyba dodawać, że sznurki powinny być długie i bez przetarć. Już niejednemu turyście długie sznurowadła przedłużały wędrowkę. W jaki sposób? Nawet najlepszym butom może przytrafić się awaria polegająca na odklejeniu podeszwy. Wówczas przydają się długie sznurki, którymi obwiązuje się but od spodu i dokoła ze dwa razy, aby podeszwa nie „kłapała”. Znam osobiście dwa przypadki ratowania wędrowki przy pomocy długiego sznurowadła. Trudno przecież iść w tenisówkach czy innych butach „schroniskowych”. Tu dygresja. Uwaga na „*klątwe Klimczoka*”. W pobliżu tej góry trzem moim znajomym buty „pokazały zęby”. Przejrzane buty doczyszczamy, jeśli po poprzedniej wyprawie zostały jakieś brudy i impregnujemy pastą, impregnatem w sprayu, wazeliną, zależy, czego używamy do zabezpieczenia obuwia przed wodą i mrozem.

Przeglądamy także nasze turystyczne odzienie, przygotowując odpowiedni zestaw adekwatny do planowanej wyprawy. Potrzebna będzie termoaktywna bielizna – naprawdę sprawdza się, polarowe spodnie i kurtka, ochraniacze (stuptuty, jak mawiają profesjonaliści), skarpety, rękawiczki. Skarpety nie powinny być „zachodzone”. Gdy włókno się zbije, tracą one właściwości izolacyjne. Co do rękawic, to nie żałujmy ich sobie. Minimalny zestaw to cieńsze pięciopalczaste i grubsze, nawierzchniowe pokryte wodoodporną tkaniną.





Ja zwykle zabieram trzy pary – wspomniany wcześniej zestaw i grube pięciopalczaście. Gdy wybieram się pod namiot, biorę jeszcze dodatkową parę „ratunkową”. Są to duże i grube rękawice służące do ogrzania dłoni w przypadku przemoczenia i zmarznięcia. Tego wszak nie uniknie się podczas organizacji biwaku. Szykujemy też spodnie przeciwwiatrowe. Polarowe, nawet z wind stoperem, na większym wietrze wyمیękają. Najzwyklejsze ortalionowe portki skutecznie zabezpieczają przed silnym wiatrem. Sprawdzamy anorak: zamki, napy, wszelkie

klamerki i inne „przeszkadzajki”. Wszystko powinno być sprawne, a pokrycie raczej bez dziur. Puchowa kurtka, kiedyś obiekt pożądania wszystkich, dla których zima to najlepsza pora na góry, nie jest niezbędna. Nieraz spotykałem ludzi odzianych w puch, czy trzeba, czy nie trzeba, dyszących i niemiłosiernie spoconych. To jest ubiór na naprawdę silny mróz. W warunkach przeciętnej zimy, przy temperaturach sięgających -15°C , nie ma potrzeby używania puchów, jeśli w programie wyprawy nie ma biwaków w namiocie. Podczas wędrówki „po schroniskach” zwykle idzie się w polarze z wind stoperem, bądź dodatkowo w anoraku. Owszem, taka kurtka może okazać się zbawienna w sytuacji awaryjnej, np. przymusowego biwaku. Z pozostałych drobiazgów powinniśmy dobrać czapkę, chustę buff lub szalik, okulary słoneczne ewentualnie gogle. Sprawdzamy kijki, (czy aby na pewno odstawiliśmy je wysuszone i lekko rozkręcone?), czołówkę, raki (jeśli w wyższe góry) i przybory kuchenne. Taką kontrolę sprzętu, ubioru i wyposażenia warto zrobić na miesiąc przed wyjazdem w góry, żeby mieć jeszcze czas na poprawki, naprawy lub zakupy i wypróbowanie nowych elementów wyposażenia.

Gdy już wszystko, co potrzebne, wyciągniemy z półek, pawlaczy, szaf i innych kątów, warto zrobić próbę pakownia. Wkładamy do plecaka wszystko to, co chcemy zabrać w góry i... ruszamy za miasto na 2-3-godzinny spacer. To na początek. W następny weekend ponawiamy trening, ale przedłużamy go nieco. Niech wycieczka potrwa 5 godz. Po trzecim wypadzie powinniśmy mieć niemal pełną jasność co do pakowania, ułożenia wyposażenia w plecaku i naszych fizycznych możliwości niesienia dobytku. Teraz wystarczy poczekać na prawdziwą zimę i w odpowiednim czasie wyruszyć w góry.

Imprezy odbywające się na terenie „KSIĘSTWA ŚWIDNICKO-JAWORSKIEGO” i w okolicy



Księstwo Świdnicko-Jaworskie
Lokalna Organizacja Turystyczna

1.12.2011 (czwartek) – **KONCERT „ROCK PRZECIW AIDS”**, Klub Bolko, pl.

Grunwaldzki 11, **Świdnica**, wstęp wolny, szczegóły: www.mdk.swidnica.pl;

3.12.2011 (sobota), godz. 8-14 – **GIEŁDA STAROCI I RÓŻNOŚCI**, Rynek w **Świebodzicach**, wstęp wolny;

3-4.12.2011 (sobota – niedziela) – **50. KRAJOWA WYSTAWA PSÓW RASOWYCH**, Hala widowiskowo – sportowa, ul. Mieszka Starego 6, **Świebodzice**, wstęp wolny;

3-4.12.2011 (sobota – niedziela) – **XIX ŚWIDNICKI FESTIWAL TAŃCA**, Hala Zawiszów, ul. Galla Anonima 1a, **Świdnica**, szczegóły: www.mdk.swidnica.pl;

4.12.2011 (niedziela), godz. 8-14 – **GIEŁDA STAROCI, NUMIZMATÓW I OSOBLIWOŚCI**, Rynek w **Świdnicy**, wstęp wolny;

5.12.2011 (poniedziałek), godz. 17:30 – **SPEKTAKL „GAŚKA”**, Sala Teatralna **ŚOK**, Rynek 43, **Świdnica**, bilety: 80 zł;

10.12.2011 (sobota) – **MISTRZOSTWA ŚWIDNICY W JUDO**, Hala Zawiszów, ul. Galla Anonima 1a, **Świdnica**, szczegóły: www.osir.swidnica.pl;

15-22.12.2011 – **JARMARK BOŻONARODZENIOWY**, Rynek w **Świdnicy**, wstęp wolny, szczegóły: www.swidnickakoleda.pl.

Stowarzyszenie LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

Henryk Paciej

Biuletyn Nr 1 Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego

Podczas ostatniego CZAKu kolportowany był „Biuletyn nr 1 Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego”. Wydany na kredowym papierze z kolorowymi rycinami, stanowi nową jakość w tematyce kolekcjonerskiej. A czego można się z biuletynu dowiedzieć?

Że zadaniem kolekcjonerstwa jest zabezpieczenie cenniejszych zbiorów od zniszczenia i rozproszenia oraz przekazanie ich następnym pokoleniom. Taka idea przyświecała już prekursorom krajoznawstwa. Zarówno Towarzystwo Tatrzańskie (1973), jak również Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (1906) w swoich statutach przewidywały działalność kolekcjonerską. PTTK podjęło kontynuację działań swoich poprzedników. Rosnące zainteresowanie kolekcjonerstwem wśród krajoznawców skłoniło Komisję Krajoznawczą ZG PTTK do przeprowadzenia w 1973 r. ankiety sondażowej wśród członków Towarzystwa w sprawie kolekcjonerstwa krajoznawczego. Wynikiem tej ankiety było opracowanie (Jacek Węgrzynowicz i Anna Becker-Kulińska) wykazu kolekcjonerów krajoznawców. Opracowano regulaminy wyróżnień: Plakietki Zbiorów Krajoznawczych (PZK) za tematyczne zbiory krajoznawcze (Adam Czarnowski i Tadeusz Sobieszek) oraz Ekslibrisu Krajoznawcy Bibliofila (EKB) za zbiory wydawnictw o tematyce krajoznawczej (Bronisław Cmela, Nikodem Błażewski i Edwin Kozłowski). Zatwierdzenie tych regulaminów przez ZG PTTK nastąpiło w 1974 r. Działalność kolekcjonerska wśród krajoznawców rozwijała się w wielu ośrodkach Towarzystwa, a szczególnie w Warszawie, Krakowie i Lublinie. W 1979 r. podczas IX Centralnego Zlotu Aktywu Krajoznawczego w Czarnowie powołano Podkomisję Kolekcjonerstwa Krajoznawczego przy KK ZG PTTK z siedzibą w Lublinie w oparciu o RPK i Klub Kolekcjonerów „Chomik”.

ZG PTTK
Komisja Krajoznawcza

Biuletyn Nr 1
Podkomisji Kolekcjonerstwa
Krajoznawczego



2011 r.



Do 1987 r. przyznano 599 wyróżnień kolekcjonerskich (287 – PZK i 312 – EKB). Od 11.01.1988 r. obowiązywał nowy system odznak kolekcjonerskich opracowany przez Adama Czarnowskiego i Wojciecha

Lipniackiego. W 1991 r. Podkomisja Kolekcjonerstwa Krajoznawczego mimo wielu osiągnięć, a szczególnie nadaniu kolekcjonerstwu krajoznawczemu odpowiedniej rangi, przestała istnieć.

Nie napisano, że opracowano nowy system odznak, ale nie było samych odznak, które wykonano dopiero w 2004 r. po uzyskaniu projektów od autora prof. Janusza Trzebiatowskiego przez Zespół ds. Kolekcjonerskich przy KK ZG PTTK, który od 1995 r. kontynuował działania Podkomisji.

Ponowne powołanie Podkomisji nastąpiło 12.02.2011 r. uchwałą KKraj. ZG PTTK nr 36/XVII/2011 w następującym składzie: Wojciech Kowalski – przewodniczący, Henryk Paciej – wiceprzewodniczący, Mieczysław Tokarski – sekretarz, oraz Maciej Maśliński i Janusz Motyka – członkowie. *Ukonstytuowanie Podkomisji miało miejsce podczas ostatniego Czaku. Zgodnie z regulaminem Podkomisja Kolekcjonerstwa Krajoznawczego jest stałym organem KKraj. ZG PTTK. Dopowiem, że zainteresowanie kolekcjonerstwem krajoznawczym wykazywała w ostatnim czasie także Komisja Opieki nad Zabytkami. Odbyły się spotkania analizujące sytuację i w efekcie powstał projekt powołania Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego, tradycyjnie umówowanej w ramach KKraj. ZG PTTK, ale z możliwością działania w niej kolekcjonerów spoza Komisji oraz z innych komisji. Zobaczmy, co z tego wyjdzie.*

Obecnie z Komisją Krajoznawczą poprzez Podkomisję współpracują dwa kluby skupiające kolekcjonerów krajoznawców:

1. **Korespondencyjny Klub Kolekcjonerów Krajoznawców „4K”** z siedzibą w Opolu. Inicjatorem klubu jest Henryk Paciej. Klub wydaje „Biuletyn Kolekcjonerski”, który początkowo ukazywał się jako kwartalnik, a później jako rocznik od 2001 r., od kiedy w miesięczniku „Na szlaku” publikowana jest kolumna „Na kolekcjonerskim szlaku” (od grudnia 2006 r. w wersji elektronicznej). Klub „4K” posiada własną stronę internetową.

2. **Klub Kolekcjonerów Krajoznawców „Chomik”** przy Oddziale Miejskim PTTK w Lublinie im. Aleksandra Janowskiego. Klub istnieje od 1976 r. i dotychczas zorganizował 26 Ogólnopolskich Wystaw i Giełd Trofeów Turystycznych oraz 5 Ogólnopolskich Sesji Kolekcjonerskich. Wydano też wiele opracowań z zakresu kolekcjonerstwa krajoznawczego. Dodam, że prezesem Klubu jest Wojciech Kowalski.

W „Biuletynie PKK” są opublikowane jeszcze nazwiska 20 Jurorów Zbiorów Krajoznawczych oraz wizerunki odznak kolekcjonerskich, a także zbiór „Chomika” z dotychczas zorganizowanych Ogólnopolskich Wystaw i Giełd Trofeów Turystycznych oraz Ogólnopolskich Sesji Kolekcjonerskich. Na koniec informacja, że materiały ilustracyjne i opracowanie są autorstwa Wojciecha Kowalskiego z Lublina, któremu gratuluję i życzę dalszej owocnej działalności.



Janusz Fuksa

POLACY NAD BAJKAŁEM

Po wejściu do muzeum limnologicznego w Listwiance nad Bajkałem ujrzałem w pierwszej sali trzy portrety na ścianie. Patrzyli z nich na mnie Aleksander Czekanowski, Jan Czerski i Benedykt Dybowski. Nie spodziewałem się, że będzie się tu czcić w ten sposób polskich zesłańców. A jednak portrety tych ludzi znalazły się tu całkiem zasłużenie. Po powstaniu 1863 r. wielu Polaków zesłano w okolice Irkucka. Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne, którego oddział w Irkucku działał od 1851 r., pomagało im w pracach badawczych, finansując ekspedycje. Trudno przecenić tę pomoc, bo niekiedy ratowała ona życie zesłańcom, nieprzystosowanym do zarobkowania w syberyjskich warunkach. Wielką rolę odegrał prezes oddziału towarzystwa, Polak, gen. Bolesław Kukiel, który był naczelnikiem sztabu wojsk Wschodniej Syberii.

Aleksander Czekanowski urodził się w 1833 r. w Krzemieńcu i ukończył gimnazjum w Kijowie. Rozpoczął studia medyczne na Uniwersytecie Kijowskim. Przerwawszy je studiował geologię na Uniwersytecie Dorpackim (dziś Tartu). Studiów nie ukończył z powodów materialnych, ale i z uwagi na zajęcie się działalnością rewolucyjną. Za udział w powstaniu 1863 r. Czekanowski został aresztowany, uwięziony, a następnie zesłany na Syberię, na sześć lat katorgi. W drodze zachorował na tyfus. Przebywał w Tomsku, następnie we wsi Siwakowej koło Czyty, gdzie wraz z innymi Polakami pracował przy wyrębie lasu. Zaopiekował się nim inny zesłaniec Benedykt Dybowski, który zdążył już zdobyć sobie autorytet naukowca. Czekanowski rozpoczął badania przyrodnicze. Kontynuował je w Darasunie i od 1866 r. w Padunie nad Angarą. Zbadał tu porohy paduńskie w miejscu, gdzie dziś stoi gigantyczna bracka elektrownia wodna Mimo że głód nie raz zaglądał do skromnej chaty, Czekanowski badał florę i faunę tajgi, zajmował się geologią. W tym czasie akademik Fridrich Szmidt z ekspedycją geologiczną zjawił się w Irkucku. Gdy dowiedział się, że w Padunie przebywa jego kolega ze studiów w Dorpacie, pośpieszył mu na ratunek. Dzięki uczonemu Czekanowski został w 1868 r. przeniesiony do Irkucka i tu w oddziale Towarzystwa Geograficznego zajął się porządkowaniem kolekcji geologicznych. Pomoc gen. Kukieła spowodowała, że w 1869 r. został uczestnikiem ekspedycji udającej się na południe guberni irkuckiej. Zbadał ogromne obszary tej ziemi, sporządził mapy ukazujące miejsca, gdzie znajdowały się złoża wielu kopalin. Współpracował w tym czasie z Janem Czerskim i Benedyktem Dybowskim. Jego badania okolic Bajkału do dziś uważa się za nowatorskie. W 1870 r. Czekanowski otrzymał złoty medal Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, co było ogromnym wyróżnieniem.

Ekspedycje geologiczne Czekanowskiego z Irkucka wymagały dużej siły woli i siły fizycznej. Ogromne odległości przemierzał pieszo, z zaprzęgami psów lub reniferów, przepływał na tratwach. Chyba najtrudniejszą z ekspedycji Czekanowski podjął na propozycję F. Szmidta w 1873 r. Pojechał na północ, w rejon Niższej Tunguski i rzeki Oleniok, do delty Leny, w okolice zupełnie wówczas nieznanego geografom rosyjskim. Sporządził mapy geologiczne tych terenów. Czekanowski jako badacz odkrył wiele złóż węgla i rud, opisał rośliny typowe dla wschodniej Syberii. Zbadał przebieg rzek, oznaczył miejsca na brzegach pod budowę przyszłych portów. Pozostawił też opisy etnograficzne dotyczące Jakutów i Ewenków, zajmował się językami tych narodowości. Wyniki jego badań wiele lat służyły jako jedyne źródło wiedzy o tej surowej krainie. Dzięki staraniom Towarzystwa Czekanowski w 1876 r. osiedlił się w Petersburgu, by zająć się opracowaniem swoich zbiorów geologicznych, paleontologicznych i przyrodniczych. Część prac zdążył wydać drukiem za życia, część pozostała w rękopisach i to na długo. Zbiory jego nieopublikowanych materiałów wyszły w Irkucku w 1962 r., zaś w Polsce w Lublinie w 1982 r. Aleksander Czekanowski rozstał się z życiem z własnej woli w Petersburgu w końcu 1876 r. i tam go pochowano, ale grób nie zachował się. Odszedł jako pierwszy z wielkiej trójki polskich badaczy Syberii.

Jan Czernski urodził się w 1845 r. w Swolnej w guberni witebskiej. Zesłany został „w sołdaty” na Syberię do Omska za udział w powstaniu 1863 r. Po zwolnieniu z wojska w związku z chorobą w 1871 r. osiadł w Irkucku. Z ramienia oddziału Towarzystwa Geograficznego podjął w 1871-83 r. wyprawy w Sajany, nad Bajkał, w doliny rzek Selengi i Niżnej Tunguski. Prowadził badania geograficzne, geologiczne i paleontologiczne. Zwolniony z zesłania w 1885 r., zamieszkał w Petersburgu i pracował w Akademii Nauk. W 1891 r. z żoną Marią wyjechał na wyprawę nad rzekę Indygirkę i Kołymę, gdzie w jej dolnym biegu zmarł w 1892 r. i tu został pochowany.

Benedykt Tadeusz Dybowski urodził się w 1833 r. w Amadarynie pod Mińskiem. Studiował w Dorpacie (1851-57), we Wrocławiu (1857-58), w Berlinie (1858-60), został doktorem medycyny. Jako profesor pracował w Szkole Głównej w Warszawie. Zajął się działalnością konspiracyjną, był przedstawicielem Rządu Narodowego, jeździł do Kijowa, Żytomierza, Pragi. W 1864 r. został zesłany na Syberię, gdzie był na ciężkich robotach. Zwolniony z nich przebywał w Irkucku, Kułtuku i Listwienicznej nad Bajkałem. W latach 1872-75 odbył łodzią wyprawę po Amurze, aż do Morza Japońskiego. Opisał faunę Amuru i Kamczatki. W porozumieniu z oddziałem Towarzystwa Geograficznego w Irkucku prowadził badania Bajkału. Wykazał, że w tym reliktowym zbiorniku wodnym żyją endemiczne gatunki ryb i kielży. Wychodząc z teorii Darwina udowodnił tezę o zmienności fauny Bajkału i Syberii Wschodniej pod wpływem warunków geograficznych. Jako pierwszy zmierzył głębokość Bajkału, najgłębszego jeziora świata (1620 m), które ma długość 636 km. W 1877 r. wrócił do Polski, ale nie znalazł tu pracy. Wyjechał więc na trzy lata na Kamczatkę i tu, w Pietropawłowsku, pracował jako lekarz. Kontynuował swe badania geograficzne, zoologiczne, także etnograficzne i antropologiczne. Przeprowadził aklimatyzację reniferów na Wyspie Beringa. W 1883 r. wrócił do kraju i objął katedrę zoologii na uniwersytecie we Lwowie, pracował tu do 1906 r. We Lwowie przebywał do śmierci w 1930 r. i tu został pochowany.

Trzej wielcy zesłańcy są przykładem współpracy uczonych polskich i rosyjskich w trudnych, niesprzyjających warunkach politycznych i przyrodniczych. Mimo piętna katorżników spotkali na Syberii ludzi życzliwych. Sami oddali narodowi rosyjskiemu wiele lat ze swojego aktywnego życia, wzbogacając Rosję o wyniki naukowe swoich prac badawczych. Zostali docenieni przez potomnych. Nazwiska dwóch pierwszych weszły na mapy Syberii. Jest tam Kriaż (Pasma) Czekanowskiego o długości 320 km z kulminacją 529 m w Jakucji między dolnym biegiem rzeki Oleniok i deltą Leny. Jest Chrebiet (Grzbiet) Czernskiego o długości 1500 km z najwyższym szczytem 3147 m, od rzeki Jany do górnego biegu Kołymy. Jest Chrebiet Czernskiego, długi na 400 km z najwyższym szczytem 2119 m koło Czyty na Zabajkału. Jest Góra Czernskiego (2090 m) nad Bajkałem w grzbiecie Chamar-Daban. Nazwisko zaś Dybowskiego stało się częścią łacińskich nazw wielu gatunków roślin występujących na Syberii.

Andrzej Rumiński

Kończy się rok 2011 – Rok Marii Skłodowskiej-Curie

Maria Skłodowska-Curie znana jest w świecie jako dwukrotna Noblistka, lecz niewiele w minionym roku pisało się i mówiło o jej wyczynach turystycznych. Była ona jedną z prekursorów turystyki rowerowej oraz jedną z pierwszych kobiet, które zdobyły prawo jazdy, wybrałem więc z internetu fakty dotyczące jej pozanaukowych zainteresowań.

Maria Skłodowska urodziła się w Warszawie 7.11.1867 r., zmarła w Sancellemoz (Francja) 4.07.1934 r. W 1883 r. ukończyła gimnazjum ze złotym medalem za pilność, ale wówczas dla kobiet miejsca na uczelniach nie było. Po wyjeździe do Francji w 1891 r. została pierwszą kobietą w historii Sorbony, która zdała egzaminy wstępne na wydział fizyki i chemii. W czasie studiów poznała swojego przyszłego męża Piotra Curie. W 1895 r. za pieniądze otrzymane w podarunku ślubnym państwo Curie kupili dwa rowery i wybrali się na nich w podróż poślubną. „Jechali bez określonego rozkładu jazdy, bez wyznaczonych z góry tras, bez poczucia czasu. To była przygoda, włóczęga na los szczęścia zakochanych nowożeńców”. W 1899 r. przyjechała z Piotrem, aby pokazać mu Warszawę, Zakopane. Weszli na najwyższy szczyt w polskich Tatrach – Rysy.



Maria i Piotr

W swej autobiografii Maria pisała: „Najmilszą naszą rozrywką po pracy w dusznym laboratorium były spacerunki bądź wycieczki na rowerach po okolicy. Mąż mój lubił przebywać na otwartym powietrzu i żywo interesował się roślinami i zwierzętami w lasach i na łąkach. Nie było prawie kąta w pobliżu Paryża, którego byśmy nie znali. Ja także kochałam wieś i owe podmiejskie wycieczki sprawiały mi taką samą przyjemność, odprężając przy tym umysł po pracy naukowej. Przywoziliśmy z nich całe pęki kwiatów. Zdarzało się, że zapominaliśmy o wszystkim i powracaliśmy dopiero późno w nocy. (...) Podczas wakacji w r. 1900 robiliśmy dalsze wyprawy rowerowe. Zwiedziliśmy w ten sposób miejscowości w Owernii i w Cewennach, a także nad morzem. Przejechaliśmy na rowerach całe wybrzeże normandzkie. Rozkoszowaliśmy się tymi całodziennymi jazdami; noclegi obieraliśmy w coraz to innym miejscu.” Po nagłej śmierci Piotra w 1906 r. dalej prowadziła laboratorium, zdobyła renomę samodzielnej badaczki.

W 1911 r. wędrowała w kilkudniowych wycieczkach po Tatrach z córkami, przyjeżdżała tu z nimi wielokrotnie, bo góry te były dla Marii uosobieniem niezależności. Dopiero tu, wśród wysokich szczytów, mogła odetchnąć nieskrępowaną wolnością, w kraju, który przecież nie istniał na żadnej mapie. Dbając o rozwój fizyczny dziewczynek, niezależnie od pogody prowadziła je na długie spacerunki, jeździły na rowerach, odbywały wycieczki konne, latem pływały. W ogrodzie ich domu w Sceaux Maria zainstalowała urządzenia gimnastyczne. Obie córki Marii, mimo że były obywatelkami francuskimi (Eve później przyjęła obywatelstwo amerykańskie) i że ich pierwszym językiem był francuski, zachowały też świadomość polskiego pochodzenia i znały język polski. Podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych w 1921 r. Maria, Irene i Eve spotkały się w Waszyngtonie z prezydentem Warrenem Hardingiem, zwiedziły wodospad Niagary, po czym pociągiem pojechały zobaczyć Wielki Kanion Kolorado, gdzie odbyły też przejażdżkę na mułach. Do Paryża powróciły w czerwcu. W 1932 r. razem z ówczesnym prezydentem Czechosłowacji Tomášem Masarykiem odbyły też podróż do Hiszpanii.

Po śmierci matki Eve postanowiła dać wyraz swojej miłości do niej, pisząc jej biografię. Jesienią 1935 r. odwiedziła rodzinę w Polsce, poszukując informacji o dzieciństwie i młodości Marii. Owocem tej pracy stała się biografia *Madame Curie*, wydana w 1937 r. we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych i innych krajach. W Polsce praca ta została po raz pierwszy opublikowana w 1938 r. pod tytułem *Maria Curie*. W 1937 r. prezydent RP Ignacy Mościcki w uznaniu jej zasług dla rozstawienia imienia Polski odznaczył Eve Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta. Na przełomie lat 1941 i 1942 Eve Curie odbyła podróż w charakterze korespondentki wojennej do Afryki, Związku Radzieckiego i Azji. Podczas tej podróży pokonała ponad 60.000 km, spotykała się z polskimi żołnierzami w tworzącej się Armii Polskiej w ZSRR gen. Władysława Andersa; spotkała się też z szachem Iranu Mohammadem Rezą Pahlawim i Mahatmą Gandhim. Relacje z tej podróży zebrała w książce *Podróż wśród wojowników*, która w 1944 r. była nominowana do Nagrody Pulitzera. Pomimo walorów literackich i licznych akcentów polskich reportaży ten do dzisiaj nie został wydany w Polsce.

W czasie swoich podróży Eve po wojnie dwukrotnie odwiedziła Polskę – w 1967 r. z okazji otwarcia Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie i później w 1999 r. W grudniu 2004 r. uroczystości obchodzono setną rocznicę urodzin Eve Curie. Z tej okazji w jej nowojorskim mieszkaniu odwiedził ją sekretarz generalny ONZ Kofi Annan, życzenia składali też prezydenci: USA – George W. Bush, i Francji – Jacques Chirac. List gratulacyjny wystosował również Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, nie było natomiast odzewu ze strony polskich władz państwowych. Dopiero w 2005 r. prezydent Aleksander Kwaśniewski nadał córce polskiej Noblistki Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Wręczyć orderu już nie miał okazji. Dokonał tego jego następca Lech Kaczyński podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych (17-19.09.2006 r.), podkreślając wielkie zasługi dla Polski całej wybitnej rodziny noblistów. W lipcu 2005 r. Eve Curie Labouisse za działalność w organizacji UNICEF została odznaczona francuskim odznaczeniem – Legią Honorową. Zmarła we śnie 22.10.2007 r. w swojej rezydencji na Sutton Place na Manhattanie, przeżywszy 102 lata.

Krzysztof R. Mazurski

Rzecz o obiektach turystycznych rejonu Wałbrzycha

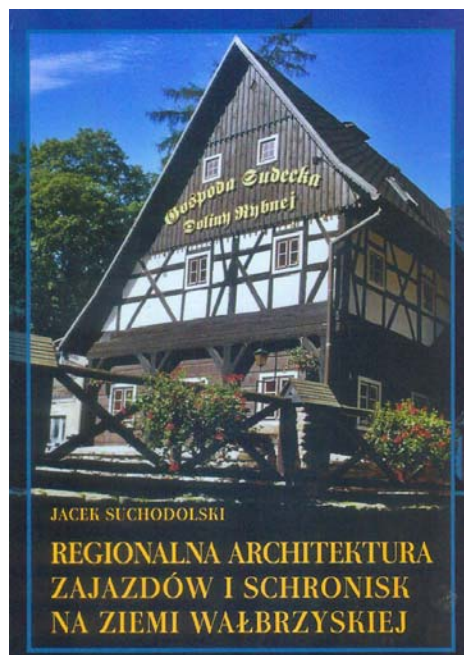
Autor, profesor Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej, prywatnie miłośnik turystyki i Sudetów, ponownie sprawił ogromną radość osobom z podobnych kręgów zainteresowania (przypomnijmy: w 2005 r. wyszła jego obszerna monografia „Architektura schronisk górskich w Sudetach”). W kolejnej pozycji tematyka została poszerzona – i słusznie, o zajazdy. Bardzo często bywały one wykorzystywane do noclegów także w ruchu turystycznym. Jeśli chodzi o zakres przestrzenny, to nazywając go umownie „ziemią wałbrzyską” autor objął teren od Kotliny Kamiennogórskiej po Góry Sowie i Wzgórze Włodzickie, a więc niemal całe Sudety Środkowe – bez pasm leżących na Ziemi Kłodzkiej.

Mimo ogromnych zniszczeń w sferze infrastruktury turystycznej, spowodowanych bezmyślnie i umyślnie, po 1945 r. zachowało się tu szereg unikatowych i wręcz przepięknych obiektów. Nadal niszczące jedna z licznych kiedyś w Sudetach murowana karczma sądowa w Łomnicy czy także drewniana w Uniemyślu. Są i dobre przykłady w postaci choćby niektórych schronisk czy też malowniczej „Gospody Sudeckiej” w Rybnicy Małej – dawnego młyna z 1713 r.! O wielu innych można dowiedzieć się już tylko ze starych fotografii i rysunków lub zapisków. Bardzo mocną stroną tej atrakcyjnej książki są liczne ilustracje – kolorowe i z dawnych lat, oraz przejrzyste rysunki autora, wychwytyjące istotę konstrukcji.

Systematyczny opis obiektów poprzedzony jest dość obszernym wprowadzeniem ogólnym. Poza Wstępem obejmuje ono krótką, ale wystarczającą w takiej publikacji, historię regionu i turystyki w nim. Osobno omówione zostały zagadnienia konstrukcyjne, w sposób syntetyczny, co z jednej strony ułatwia laikowi dobry odbiór pozostałej części tekstu, a z drugiej – stanowi jakby wcześniejsze uogólnienie późniejszych informacji, akcentujące najważniejsze cechy i wartości tutejszego budownictwa. Miejmy nadzieję, że w ten sposób książka nie stanie się li tylko rejestratorem ubywających dokonań regionalnych, wypieranych przez upiorne budownictwo podhalańskie, ale pobudzi do ratowania tego, co jeszcze istnieje. W poruszaniu się po fizycznej przestrzeni ułatwia spora mapa załącznikowa, z lokalizacją obiektów odnotowanych przez autora. Może teraz przyjdzie kolej na następne części Sudetów?

Na pewno dobrym uzupełnieniem będzie monografia, przygotowana przez recenzenta, pt. „Historia turystyki sudeckiej”, którą COTG PTTK planuje wydać jeszcze do końca 2011 r.

Jacek Suchodolski: *Regionalna architektura zajazdów i schronisk na ziemi wałbrzyskiej*. Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej 2011, 190 s. + mapa.



Tomasz Kowalik

Z TRZECH KORON WIDAĆ WIĘCEJ

Z treści 20. tomu „Prac Pienińskich” wynika, że 82. publikacja Ośrodka Kultury Turystyki Górskiej PTTK w Szczawnicy sięga daleko od Okrąglicy, czyli Trzech Koron. Niemal dosłownie po horyzont, a nawet dalej, a także w głąb dolin tego górskiego kompleksu. Dla przypomnienia – Ośrodek powstał po sąsiedztwie ze schroniskiem PTTK „Orlica” w Szczawnicy w maju 1988 r. jako piąta tego rodzaju placówka edukacyjna, dokumentacyjna, kolekcjonująca w wielu formach muzealnych i pisarskich wydarzenia w polskich górach. Spina ona tradycje jednego z pierwszych Oddziału TT, utworzonego w lipcu 1893 r. w Szczawnicy, który od 1904 r. nosi nazwę Pieniński. Pozostaje niezmienna w strukturze PTT i PTTK, a więc niebawem dojrzeje do obchodu 120-lecia. Ale w spisach treści poszczególnych tomów „PP” znajdujemy mnóstwo informacji sięgających poza geograficzne czy fizjograficzne

Pieniny, daleko poza granice Szczawnicy i Krościenka. Są w nich liczne artykuły dotyczące Spisza, Zamagórza, Orawy, Kotliny Nowotarskiej, a także wielu okolic w Tatrach i masywu Babiej Góry.

Nic zatem dziwnego, że w 20. tomie znalazły się także sylwetki Karola Wojtyły, który jako nastolatek odwiedził Szczawnicę oraz o jego przyjacielu Stefanie Świeżawskim. Treść artykułu Ryszarda M. Remiszewskiego (wielce zatroskanego o losy Ośrodka jego ofiarnego kustosa i starannego kronikarza wydarzeń w pienińskich dolinach i ponad nimi) wzbogacają liczne fotografie z domu i życia rodziny Świeżawskich oraz kilkadziesiąt reprodukcji listów i innych autografów Jana Pawła II. W tymże tomie znajduje się obszerny tekst Jerzego M. Roszkowskiego, ukazujący dzieje sporu o Morskie Oko i bogatą faktografię skutecznych działań Oswalda Balcera – naukowca, prawnika, historyka, publicysty – o potwierdzone 13.09.1902 r. ogłoszeniem wyroku przez sąd w Grazu i ostateczne przypisanie „serca Tatr” Polsce, której wtedy nie było na mapie Europy. Poza Pieniny sięga kilku autorów, a m.in. Bronisław Chowaniec-Lejczyk w biograficznym tekście o gen. Mariuszu Zaruskim i jego śmierci w radzieckim więzieniu w Chersoniu, Tadeusz M. Trajdos przybliża czytelnikom dzieje polskich organizacji na Spiszu i Orawie, wspomnienia Stanisława Cichego z Jurgowa. W tomie znalazł się też zarys „biografii” trzech pokoleń folkloru pienińskiego, czyli tekst Jana M. Kacwina o długoletnich tradycjach Zespołu Pieśni i Tańca „Pieniny” z Krościenka. Warto zwrócić uwagę na alarmujący tekst Marka Gotkiewicza o totalnej, postępującej od kilkunastu lat, zagładzie swoistych budowli gospodarczych, tzw. sypancach w Kacwinie, oraz R. M. Remiszewskiego o uratowaniu kościółka „flisackiego” w Sromowcach Niżnych i o malowanych kościelnych chorągwiach procesyjnych na Spiszu.

Jak w wielu poprzednich wydaniach „PP”, znaczną część jubileuszowej publikacji zajmują teksty o walorach przyczynków historycznych, krajoznawczych, przyrodniczych (np. o tomie „Pieniny w literaturze polskiej” Jakuba Żmizdińskiego), o związkach Pienin z Poznaniem czy o storczykach pienińskich. Znalazły się też wywiad z Grzegorzem Niezgodą – burmistrzem Szczawnicy, poświęcony Józefowi Szalayowi. Włodarz miasta i gminy zapewnia o chęci odnowienia zabytkowego cmentarza w samym środku miasta, a zwłaszcza zabytkowej, zaniedbanej od lat kaplicy grobowej Szalaya, czyli że dopiero ze środków Unii Europejskiej będzie możliwa opieka nad polskim grobem założyciela uzdrowiska!!! Jest też tekst o bogatej konferencji naukowej „Pieniny-zapora-zmiany”, czyli o wynikach licznych badań oddziaływania zapory, elektrowni i Jez. Czorsztyńskiego, graniczącego z Pienińskim PN, o kompletnie przebudowanym rynku w Jaworkach i jubileuszu 80-lecia Klubu Sportowego „Pieniny” w Szczawnicy (cztery ostatnie tematy opracował R. M. Remiszewski). W tomie „PP” znajdują się dwie publikacje o wydarzeniach z 1944 r. Jest to opracowanie Marka Holnego Galasa o rozbiciu się 18.12.1944 r. na leśnych stokach Gorców nad Ochotnicą Dolną amerykańskiego samolotu transportowego „Liberator”, oraz Jana M. Kacwina kronika partyzanckiej akcji AK „Burza”, jej uczestnikach w Szczawnicy i okolicach. Natomiast wspomnienie Agnieszki Stopki z Czarnej Wody „Moi przodkowie – Łemkowie” pokazuje część dziejów jej rodziny w dawnej rdzennej wsi łemkowskiej położonej ponad Szczawnicą na skłonach najwyższego szczytu pienińskiego – Wysokiej. Również R. M. Remiszewski pokrótce opisał V Spotkanie „Mędroli od Tischnera”, czyli spotkanie dla przypomnienia modelowych postaci jego „Filozofii po góralsku” w 10. rocznicę śmierci ks. Profesora.

W liczącym 520 stron tomie najobszerniejszą część (prawie 200 stron tekstów i fotografii) zajmują „Varia”, gdzie znajdujemy notatki o tradycyjnej uroczystości otwarcia kolejnego sezonu flisackiego i zapis personaliów władz Stowarzyszenia Flisaków (w sierpniu 2010 r. turystów „woziło” 7092 łodzi, a ogółem w tamtym roku spłynęło przez wspaniałą przełom Dunajca bez mała 206 tys. osób), o otwarciu „bliźniaczego” mostu na Dunajcu w Krościenku, o obchodach 90-lecia powrotu Spisza do Polski, o dowodach obecności Żydów w Łapszach Niżnych, o spotkaniach polsko-węgierskich w Niedzicy, tekst Danuty Reško, kustosa bratniego Ośrodków Kultury Górskiej na beskidzkiej Jaworzynie Krynickiej od 40, i Tadeusza Kochańskiego o działalności Ośrodka na gorczańskim Turbaczu od 30. lat. Uzupełnia ten obszerny tom „PP” dział recenzji i polemik, a tradycyjnie zamyka kilkanaście pienińskich utworów poetyckich, wykaz tytułowy 82. publikacji Ośrodka z lat 1987-2010 – trudno powstrzymać się od uwagi, że niemal wszystkie publikacje ukazywały się w nakładach 50, 100, najwyżej 300 egz., co znacznie ogranicza zasięg i oddziaływanie ich wartościowej treści. Tom 82. uzupełnia imienny skład osobowy członków Ośrodka, jego Rady i Zespołów problemowych (historycznego, dokumentacji mechanicznej, etnograficznego i spiskiego) oraz zamykająca go wkładka barwnych fotografii. Trudny żywot „PP”, czyli ciągły brak środków na wspomniane minimalne nakłady to dziś typowy, jakże „górski mozolny marsz pod górę” licznych regionalnych i centralnych wydawnictw ze znakiem firmowym PTTK. Tego rodzaju twórczość rzadko uzyskuje wsparcie lokalnych samorządów, a autorzy i nieliczni entuzjaści szerzenia wiadomości krajoznawczych, zgodnie z fundamentalnym kanonem ideologicznym TT, PTT i PTTK, „urabiają ręce po łokcie” i „zdzierają buty”, aby jednak utrzymać się na coraz mniej rozległym rynku czytelnicznym, coraz trudniej pokonywać bariery biurokracji we własnych szeregach i znieczulenia na tzw. wartości. Do niepełnego spisu zaniechań i problemów z ochroną dziedzictwa wypada dodać tytułem komentarza, że cele i ideologia wspomnianych Towarzystw to od 1873 r. były, są i będą podstawą ich oddziaływania kulturotwórczego, takie zasady, jak „*Umiejętne badanie Karpat, a w szczególności Tatr i Pienin oraz rozpowszechnianie zebranych o nich wiadomości*”, „*zachęcanie do zwiedzania i ułatwiania przystępu do nich i ułatwianie tamże pobytu turystom, a w szczególności swoim członkom udającym się do Karpat, Tatr i Pienin...*”, „*ochrona zwierząt halskich*” i „*wspieranie przemysłu górskiego wszelkiego rodzaju*”. Retoryczne jest zatem pytanie: „co nam zostało z tych ideałów”, bowiem nic tak nie szkodzi pomyślnej przyszłości, jak zapomnienie przeszłości. Jak wiadomo, historia jest „matką nauk wszelakich”, a „narody tracąc pamięć – tracą życie”, a słowa te wyrte są na tablicy przy wejściu na cmentarz na Pęksowym Brzyzku, najbardziej górskim z polskich cmentarzy.

Krzysztof R. Mazurski

NIEPRZEMIJAJĄCE WARTOŚCI SZKOLNEGO RUCHU KRAJOZNAWCZO-TURYSTYCZNEGO

Wobec pojawiających się ciągle nowych „atrakcji”, odciągających młodsze pokolenia od przyrody i turystyki – jako sposobu przebywania w niej i zdrowej rekreacji, oraz nikłego wsparcia turystyki młodzieżowej przez władze państwowe i samorządowe, należy przypomnieć rolę szkoły w tym zakresie.

Już Jan Amos Komeński w XVII w. za jedną z podstaw nowoczesnej dydaktyki szkolnej uznał konieczność łączenia prezentacji werbalnej z metodą poglądową, co powszechnie uznaje się za przełom w kształceniu. Jednakże nie był on pierwszym i jedynym, który dostrzegł płynące z tego korzyści. Oto bowiem choćby sto lat wcześniej żyjący Krzysztof Schilling – rektor gimnazjum łacińskiego w Jeleniej Górze, przez kilka lat regularnie prowadził swoich uczniów na wycieczki, których punktem docelowym była Śnieżka. Celem natomiast dydaktycznym było nauczanie przyrodoznawstwa w warunkach terenowych. W ten oto sposób dokonywało się łączenie turystyki – podróżowania w celach rekreacyjnych, zastosowanej jako techniki realizacji celu, z krajoznawstwem jako istotą tego podróżowania. Nie ulega wątpliwości, że przy okazji młodzież uczyła się wspólnoty działań, współpracy, hartu fizycznego, poznając także aspekty społeczno-kulturowego terenu wycieczki. Niestety, oddanie szkolnictwa w Polsce zakonom oddaliło je od idei racjonalistycznych, w tym przyrodoznawczych, zasklepiając się w szkolnych murach. Istotne zmiany przyniósł schyłek XVIII w., gdy inicjatywę edukacyjną zaczął przejawiać bardziej otwarty zakon pijarów. Nowym impulsem stała się – paradoksalnie, utrata niepodległości przez I Rzeczypospolitą, w wyniku czego formujące się nowoczesne krajoznawstwo – rozwijające się także jako ruch społeczny, zyskało wysoką rangę społeczną zastępując oficjalne szkolnictwo zaborców w nauczaniu polskiej młodzieży ojczystego kraju. Z powodu niemożności publikowania podręczników szkolnych tylko przekaz ustny – wsparty bezpośrednią autopsją w terenie, był w stanie przekazać odpowiednią dawkę wiedzy o Polsce.

Zrozumienie skuteczności takiego działania legło u podstaw przekonania twórców Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, zalegalizowanego dla zaboru rosyjskiego w 1906 r., o konieczności szczególnego zintensyfikowania pracy z młodzieżą. Najdobitniej świadczy o tym działalność Aleksandra Janowskiego, który ze względu na dobre relacje z młodzieżą zwany był powszechnie Wujciem. Do końca niemal życia zajmowała ona szczególnie obszerny zakres jego działalności. Całe zresztą wspomniane Towarzystwo poświęcało wiele uwagi pracy z najmłodszymi członkami społeczeństwa. To dla niej zainicjowano i publikowano przez wiele lat specjalne czasopismo „Orli Lot”. Dla niej organizowano koła i kluby w szkołach. Wielkie zasługi w tym zakresie poniósł choćby Leopold Węgrzynowicz. Sytuacja jednakże w porównaniu do czasów rozbiorowych uległa istotnej zmianie: krajoznawstwo nie musiało już wyręczać szkolnictwa w nauczaniu polskości, jako że zasadnicza wiedza z tego zakresu znalazła się w państwowych programach szkolnych. Ruch krajoznawczo-turystyczny stał się więc komplementarny i uatrakcyjniający formalne działania szkolne. Wycieczka – atrakcyjna forma spędzania czasu, realizowana zwłaszcza poprzez turystykę aktywną dająca szansę na rozładowanie energii, typowej dla młodego wieku uczniów, tworzyła możliwości utrwalenia wiadomości podręcznikowych – z geografii, historii, literatury i innych przedmiotów, ich poszerzenia i wizualizacji.

Podobne stanowisko przyjęły władze szkolnictwa po 1945 r., wspierając zwłaszcza w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych działalność Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego na terenie szkół i innych podobnych placówek. Wyrażało się w istnieniu kilku tysięcy szkolnych kół/klubów krajoznawczo-turystycznych i wojewódzkich ośrodków, koordynujących, inicjujących i wspierających podobną aktywność. Zaangażowanych w nią było tysiące nauczycieli, zarazem działaczy PTTK. Nie ulega wątpliwości, że musiała ona mieć nie tylko werbalne wsparcie – potrzebne były środki finansowe na zakup różnych materiałów: sprzętu turystycznego, wydawnictw, na wyjazdy, a także na wynagrodzenie – jakkolwiek skromne, dla samych opiekunów-nauczycieli, którzy przecież poświęcali z reguły swój czas wolny i własne pieniądze. Niekiedy byli to opiekunowie, którym narzucano służbowo takie obowiązki – tym bardziej owa finansowa rekompensata się należała. Końcowe rezultaty były

wszakże trudne do oceny – w sensie pozytywnym. Dzieci i młodzież lepiej przyswajała wiedzę i różne umiejętności praktyczne, systemowo kształtowano postawę patriotyczną, wzorce osobowe i kondycję fizyczną. Społeczeństwo więc polskie zyskiwało ogromne wartości – wprawdzie niematerialne, niewymierne, ale jakże istotne dla jego prawidłowego funkcjonowania i rozwoju. Najlepiej wykazują to liczne prace znakomitego pedagoga, działacza PTTK i aktywnego organizatora imprez turystycznych prof. Kazimierza Denka z poznańskiego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Przedstawione tu i wiele innych korzyści z zastosowania turystyki i krajoznawstwa w pedagogice w ogóle, w tym i dydaktyce, są przezeń dogłębnie udowodnione w prowadzonych badaniach i realizacjach praktycznych.

Mimo to już pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęły się trudności w prowadzeniu ruchu turystyczno-krajoznawczego w szkolnictwie, jeszcze bardziej pogłębione po rozpoczęciu transformacji ustrojowej po 1989 r. Zmienne stanowisko resortu szkolnictwa, ograniczanie środków, eliminacja Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego ze szkół, a co najmniej nie wspomaganie go w działalności, zmiany programowe i systemowe doprowadziły niemal do zaniku tego typu aktywności wśród młodzieży, co przy równoczesnym zaniku innych ofert pozaszkolnych prowadzi do pogłębiającego się kryzysu wychowawczego młodego pokolenia. Nie można przy tym nie zauważyć wpływu ekonomicznego, a konkretnie – pauperyzacji (wskutek różnych przyczyn) znacznych kręgów społecznych, których nie tylko nie stać na uczestnictwo w turystyce komercyjnej, ale nawet na niskie opłaty stosowane wobec wycieczek szkolnych poza profesjonalnymi usługodawcami. Samo PTTK – kierując wiele ofert programowych do młodzieży, nie jest w stanie w obecnej sytuacji, tj. bez wsparcia władz, wypełnić powstałą ogromną lukę w tym zakresie. Jest zarazem jedyną organizacją społeczną, która dysponuje wieloma atutami: tradycją, doświadczeniem, kadrami i programem.

W świetle powyższego można sformułować następujące – i to oczywiste, konkluzje o zasadniczym znaczeniu aplikacyjnym i wymiarze społecznym:

1) należy powszechnie reaktywować szkolny ruch krajoznawczo-turystyczny jako posiadający wielkie znaczenie edukacyjne i wychowawcze, kształtujący pożądane postawy obywatelskie i patriotyczne, także w znaczeniu tożsamości lokalnej i regionalnej;

2) przy reaktywacji i prowadzeniu owego ruchu niezbędne jest wielopłaszczyznowe i wielowymiarowe wsparcie władz różnych szczebli – zarówno państwowych, jak i samorządowych;

3) naturalnym i najważniejszym partnerem takiej działalności jest Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, które powinno stać się komplementarnym sojusznikiem szkolnictwa w realizacji jego zadań.

Ewentualnie można starać się o finansowanie zewnętrzne, środki ze wszelkiego rodzaju funduszy regionalnych, np. w konkursach rozpisywanych przez Urząd Marszałkowski.

„Na Szlaku” – miesięcznik turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK,
odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.



Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Z-ca Sekretarza: **Alicja Jachimowicz**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Webmaster: **Paweł Rumiński**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wyślouch**



Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław; tel. +48 71 343 03 44

ISSN 1230-9931

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach. Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław nr:

38 1090 1522 0000 0000 5201 9117 z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.